7 maja 2025 NR 105 (18196)

Sport

80 LAT ŚRODA UKAZUJE SIĘ OD 1945



Grande Inter

CHAMPIONS LEAGUE

Sport ac5cf73c67

Z DRUGIEJ STRONY



Bogdan Nather

Ciuciubabka w Trójmieście

W latach 60. XX wieku Czesław Niemen skomponował piosenkę „Baw się w ciuciubabkę". Jedna ze zwrotek leci tak:

„A kiedy ciuciubabkę mamy już,

Nie wolno w miejscu stać,

Zmartwienia i kłopoty na bok złóż,

I śmiej się tak, jak ja".

Ów tekst skojarzył mi się z gierkami prowadzonymi przez włodarzy gdańskiego klubu. Jak wiadomo, 29 kwietnia Komisja ds. Licencji Klubowych PZPN ogłosiła, że Lechia nie otrzymała licencji na grę w PKO BP Ekstraklasie w sezonie 2025/26. Klub z Trójmiasta nie spełnił wymogu przedstawienia prognozy finansowej. Zarządzający Biało-zielonymi rozpoczęli proces odwoławczy, ale na tym etapie nie sposób przewidzieć, jaki będzie jego skutek.

Pomocną dłoń wyciągnęły do klubu władze Gdańska. Obiecały, a podobno obiecać nie grzech, że jeśli Lechia utrzyma się w najwyższej klasie rozgrywkowej, to otrzyma z miejskiej kasy 10 milionów złotych na nowy sezon. Tyle samo dostała od Gdańska za grę w PKO BP Ekstraklasie w kończących się właśnie rozgrywkach. – Jest to górna kwota – powiedział zastępca prezydenta Gdańska, Piotr Borawski. – Liczę na to, że również właściciele firm i sponsorzy będą wspierać klub po to, żeby rzeczywiście te środki finansowe były zapewnione na kolejny sezon – dodał. Na zakończenie Borawski przekazał, że stosowne gwarancje zostały wysłane przez władze Gdańska do Polskiego Związku Piłki Nożnej.

Paradoks całej sytuacji polega na tym, że skoro futbolowa centrala nie udzieliła na razie Lechii licencji z powodu braku wystarczającej prognozy finansowej na przyszły sezon, to oznacza to, że klub z Gdańska zdołał spłacić długi i inne wcześniejsze zobowiązania, co w trudnej sytuacji finansowej nie było takie oczywiste. Jednak uregulowanie tych rozliczeń przyniosło skutek w postaci... pustej kasy, stąd nie należy dziwić się władzom Ekstraklasy SA, które pytają, z jakich źródeł zamierzacie pozyskać środki finansowe, by przystąpić do rozgrywek w sezonie 2025/26?

Odpowiedzi, które wypłynęły z Trójmiasta, nie były satysfakcjonujące dla organizatorów rozgrywek PKO BP Ekstraklasy. Wpływy wskazane przez prezesa Paolo Urfera i jego współpracowników obejmowały: po pierwsze – pieniądze z licencji telewizyjnej za transmisje meczów to ponad 11 mln złotych. Lechia wydała już z tej kwoty a conto 800 tysięcy na pokrycie zobowiązań wobec Ruchu Chorzów, z którego do Gdańska przyszedł Tomasz Wójtowicz; po drugie – pieniądze ze sprzedaży biletów na mecze i pamiątek klubowych, ale nie jest to kwota, która może obecnie uratować finanse klubu; po trzecie – pieniądze od mniejszych sponsorów, lecz niewiele one zmienią, ponieważ głównym problemem Lechii jest brak głównego sponsora, którego nie należy się spodziewać w najbliższych miesiącach. Czyli psy szczekają, a karawana idzie dalej. Tylko jak długo można robić dobrą minę do złej gry?

***

Na zakończenie drobna „ciekawostka przyrodnicza". Otóż w typowaniu ostatniej kolejki ligowej (TYPER) pomocnik Chrobrego Głogów Robert Mandrysz nie pomylił się ani razu (!), wskazując prawidłowo wszystkie wyniki. To pierwszy przypadek w historii naszej zabawy, więc warto o nim wspomnieć.

Zdrowa rywalizacja

Rozmowa z **Martenem Kuuskiem**, obrońcą GKS-u Katowice

W meczu z Koroną Kielce GieKSa straciła dwie bolesne bramki – jedną w doliczonym czasie pierwszej połowy, a drugą w ostatnich minutach meczu, przez co spotkanie zakończyło się waszą porażką 1:2. Pierwszy stracony gol podciął wam skrzydła?

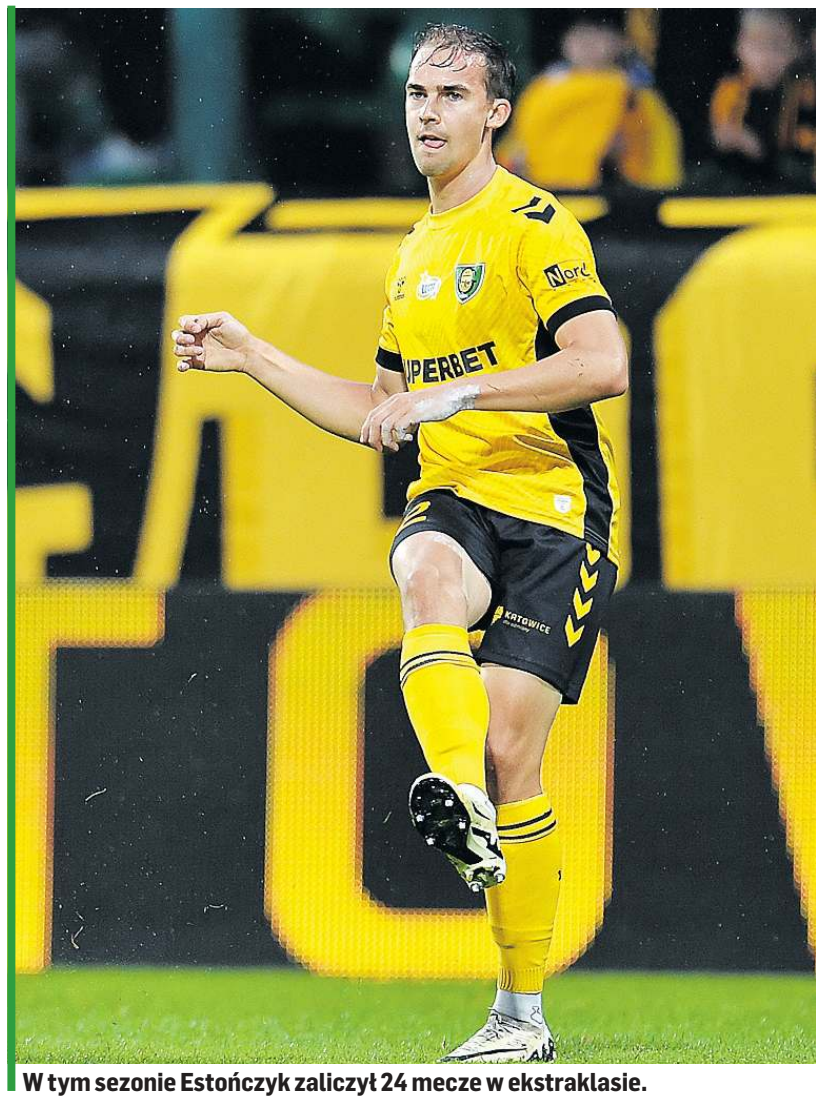
– Sądzę, że zbyt łatwo straciliśmy tę bramkę. Może byliśmy zbyt statyczni... Mieliśmy szansę do tego, żeby wybić piłkę, oddalić ją od pola karnego, ale nie zrobiliśmy tego. Byliśmy nieco zbyt pasywni i nasi przeciwnicy wyszli na prowadzenie. Gol padł dodatkowo w ostatnich minutach, ale zareagowaliśmy dobrze po zmianie stron. Znaleźliśmy wtedy odpowiedni rytm i ostatecznie strzeliliśmy też wyrównującą bramkę, na którą zasłużyliśmy. Później jednak nie miała ona znaczenia...

Miał pan poczucie po golu na 1:1 Oskara Repki, że jesteście w stanie wygrać ten mecz?

– Każdy z nas czuł, że znaleźliśmy sposób na zwycięstwo. Wszystko było w naszych rękach. Oczywiście musieliśmy też skupić się na obronie, żeby nie dać strzelić sobie kolejnego gola. Kibice, którzy pojawili się w Kielcach, dawali nam siłę, ale niestety przegraliśmy.

Gol Dawida Błanika chwilę przed ostatnim gwizdkiem zamknął spotkanie. Wówczas GKS grał w osłabieniu, bo czerwoną kartkę zobaczył Repka. Czego – oprócz jednego zawodnika na boisku – zabrakło podczas straty drugiego gola?

– Jasne, że brakowało nam jednego zawodnika, ale znów chyba byliśmy zbyt pasywni. Mogliśmy nacisnąć na przeciwnika, który dośrodkowywał (Wiktor Długosz – przyp. red.). Zabrakło nam decyzyjności, ale także odpowiedniego zachowania w polu karnym, gdy zawodnik gospodarzy strzelał głową.



Fot. Press Focus

W tym sezonie Estończyk zaliczył 24 mecze w ekstraklasie.

Z perspektywy trybun wydawało się, że Korona grała bardzo solidnie w defensywie. Czy czuliście to samo na murawie?

– Szczególnie w pierwszej połowie nie mieliśmy wielu okazji do tego, żeby zagrozić bramkarzowi, co zazwyczaj nam się udaje. Brakowało nam szybkości w operowaniu piłką. Rywale bardzo dobrze bronili, trzeba im to oddać. Przez to mecz był wyrównany. Było to typowe spotkanie na remis.

Żeby wygrać, trzeba strzelać. Natomiast fakty są takie, że GieKSa oddała jeden celny strzał przez 90 minut. To wynik dobrej formy rywala czy waszego słabszego?

– Sądzę, że oba twierdzenia pokrywają się z rzeczywistością. Jak wspomniałem, Korona grała dobrze w defensywie. Z drugiej strony oddaliśmy kilka strzałów niecelnych, ale może nie był to nasz dzień. Przy odrobinie szczęścia nasi zawodnicy ofensywni zdobyliby więcej bramek.

Dla pana mecz z Koroną był pierwszym w wyjściowej jedenastce po miesiącu przerwy. Runda wiosenna ogólnie była dla pana trudna, bo rozpoczął pan ją w pierwszym składzie, a później został zastąpiony przez Lukasa Klemenza. Co to za uczucie znowu pojawić się u boku Arkadiusza Jędrycha i Alana Czerwińskiego?

– Cieszę się z tego, że wróciłem do pierwszego składu. Czułem się nieźle na boisku i starałem się dać z siebie wszystko. Niestety, okazało się to niewystarczające do wywiezienia z Kielc trzech punktów. W defensywie mamy zdrową rywalizację wewnątrz drużyny. Lukas Klemenz i Aleksander Komor to dobrzy zawodnicy. W pierwszym składzie gra ten zawodnik, który w danym momencie jest w najlepszej formie. To bardzo pozytywna rywalizacja, która sprawia, że każdy z nas staje się lepszy. Dzięki kolegom z drużyny czuję, że muszę dawać z siebie jeszcze więcej, rozwijać się.

Był to pana pierwszy sezon w ekstraklasie. Coś pana w niej zaskoczyło?

– Ten sezon wyglądał mniej więcej tak, jak sobie go wyobrażałem. W poprzednim roku przyglądałem się ekstraklasie w telewizji. Zaskoczyła mnie natomiast jakość stadionów i boisk. Ponadto na każdej arenie jest fenomenalna atmosfera, co też jest spowodowane tym, że nasi kibice wspierają nas wszędzie. Z kolei pod względem piłkarskim ekstraklasa jest bardzo jakościową ligą. Każdy zawodnik ma spore umiejętności, co powoduje, że tempo meczów jest znacząco większe niż w I lidze.

W GKS-ie Katowice jest pan już półtora roku. Czy w tym czasie zdążył się pan zakochać w tym klubie?

– Tak, można tak powiedzieć. Przez ten czas przeżyliśmy wiele wspaniałych momentów. Po pół roku mojego pobytu w GKS-ie Katowice awansowaliśmy do ekstraklasy. To było bardzo emocjonujące, wiele znaczyło dla każdego, kto jest związany z klubem. Ponadto po awansie wykonaliśmy świetną pracę. Jasne, że jest miejsce do rozwoju, do polepszenia wyników i liczę na to, że w przyszłym sezonie będzie jeszcze lepiej.

Słyszę, że znacznie poprawił się pana polski. Gdy rozmawiamy po angielsku, wplata pan też słowa w tym języku. Na jakim etapie jest nauka?

– Bardzo dobrze znam język futbolu, bardzo specyficzny. To jednak bardzo proste sformułowania, nadal więc muszę się sporo uczyć. Trener mówi w języku polskim i choć mamy dobrego tłumacza, chciałbym, żeby mój polski był jeszcze lepszy.

Zdaję sobie sprawę z tego, że dla Estończyka nauczenie się polskiego jest dość trudne, bo nasze języki są z innych rodzin. Mimo tego zapytam, kiedy możemy się spodziewać rozmowy w pełni po polsku?

– Nie chciałbym składać obietnic, ale myślę, że potrzebuję jeszcze kolejne półtora roku. Polski to trudny język. Są jednak zawodnicy z Estonii, którzy go opanowali, na przykład Konstantin Wasiljew. On był w Polsce jednak kilka lat, a ponadto było mu łatwiej, bo zna język rosyjski. Cóż, mnie pozostaje nauka krok po kroku!

Rozmawiał Kacper Janoszka

Sport ac5cf73c67



Fot. Szymon Górski / Press Focus

Gra o kasę

Piłkarze Pogoni i Jagiellonii walczą o trzecie miejsce. Na zdjęciu Linus Wahlqvist (nr 28) i Afimico Pululu.

Na finiszu rozgrywek wciąż jest o co walczyć, bo każde miejsce wyżej to przychód 300 tysięcy złotych netto w klubowej kasie.

Dwa lata temu Pogoń... zrujnował Górnik, który w meczu przedostatniej kolejki wygrał z nią 2:1. Szczecinian ta porażka zepchnęła z pudła na czwartą lokatę. Klub z Pomorza Zachodniego stracił na tym 3,5 mln złotych, bo taka była wtedy różnica między trzecią a czwartą lokatą. Nie załapał się też do europejskich pucharów. Czkawką odbiło się to niedawno, gdy działacze Pogoni ogłosili, że klub jest na wielkim, bo wynoszącym blisko 50 mln zł minusie. Długi spłaca, na razie wobec piłkarzy, nowy właściciel Alex Haditaghi.

Premiowana pierwsza trójka

W sezonie 2023/24 na klubowe konta Ekstraklasa SA przelała rekordową kwotę 280 mln zł. Premiowane są przede wszystkim miejsca medalowe, czyli dające prawo gry w europejskich pucharach. Za złoto Jagiellonia otrzymała wtedy 32,5 mln zł – o pięć milionów więcej niż Raków rok wcześniej. Za sam wynik sportowy premia wyniosła aż 21,6 mln zł. Do tego dochodziła kwota stała, wypłacana klubom przez Ekstraklasę SA w wysokości – dla wszystkich – 7,8 mln złotych i tak zwany ranking historyczny. Łącznie dało to wyżej wspomnianą kwotę. Tu jako ciekawostkę dodajmy, że roczny budżet Górnika Zabrze, średniaka w ekstraklasie, to 38 mln zł. Śląsk zainkasował wtedy za wicemistrzostwo 27,1 mln zł, a trzecia Legia – 25,2. To też łączne sumy za wynik sportowy, kwotę stałą i ranking historyczny.

Coraz więcej pieniędzy

Znowu w plecy była czwarta wtedy Pogoń, która ostatecznie zainkasowała „ledwie" 16,3 mln zł, ale za czwartą lokatę tylko 4,7 mln zł. Trzecia w tabeli Legia dostała o ponad 8 milionów więcej! Widzimy więc, jaka jest różnica i jak mordercza na finiszu rozgrywek będzie rozgrywka o miejsce w czołowej trójce. Do niedawna pewniakiem była Jagiellonia, ale po dwóch kolejnych porażkach, z Zagłębiem Lubin i Koroną po 1:3 oraz ostatnim remisie z zabrzanami u siebie 1:1, Portowcy – z zaległym meczem u siebie z dołującym ostatnio Motorem – są już tylko o krok od Dumy Podlasia, z którą grają jeszcze na dodatek na zakończenie rozgrywek 24 maja w Białymstoku. Może się więc okazać, że na koniec to nie Legia, która zdobyła już przecież Puchar Polski, nie Pogoń, która finał PP znowu przegrała, a ekipa trenera Adriana Siemieńca będzie wśród największych przegranych tegorocznych rozgrywek i to w sensie zarówno sportowym, jak i finansowym. Czas pokaże, jak będzie, ale na dziś czwarta lokata w ekstraklasie jest prawdziwym przekleństwem, o czym na własnej skórze przekonała się właśnie Pogoń. Gdyby nie zmiana właściciela, szczecinianie znowu byliby na zakręcie swojej historii.

Warto podkreślić, że każde miejsce wyżej to dodatkowe 300 tysięcy zł więcej w kasie. Ile kluby dostaną za ten sezon, tego dowiemy się po jego zakończeniu, ale kasa z roku na rok jest coraz większa. Przykładowo za szóste miejsce w 2022 roku Wisła Płock dostała 3,4 mln zł, a w zeszłym roku Górnik już 4,1. Jest więc o co walczyć!

Michał Zichlarz

PODZIAŁ PIENIĘDZY ZA WYNIK SPORTOWY W SEZONIE 2023/24

1. Jagiellonia Białystok	21,6 mln zł
2. Śląsk Wrocław	17,3 mln zł
3. Legia Warszawa	13 mln zł
4. Pogoń Szczecin	4,7 mln zł
5. Lech Poznań	4,3 mln zł
6. Górnik Zabrze	4,1 mln zł
7. Raków Częstochowa	3,8 mln zł
8. Zagłębie Lubin	3,4 mln zł
9. Widzew Łódź	3,1 mln zł
10. Piast Gliwice	2,8 mln zł
11. Stal Mielec	2,5 mln zł
12. Puszcza Niepołomice	2,2 mln zł
13. Cracovia	1,9 mln zł
14. Korona Kielce	1,5 mln zł
15. Radomiak	1,2 mln zł
16. Warta Poznań	0,9 mln zł
17. Ruch Chorzów	0,6 mln zł
18. ŁKS Łódź	0,3 mln zł

Źródło: Ekstraklasa SA

Punkt kulminacyjny

Kluczowa dla rozwiązania ekstraklasowych łamigłówek może okazać się najbliższa, 32. kolejka, w której ligowa czołówka zagra między sobą.

Odkąd w ekstraklasie występuje 18 drużyn (2021/22), za każdym razem zespół, który prowadził po 29. kolejce, zostawał mistrzem Polski. Trzy lata temu liderem był Lech, który ostatecznie wywalczył ósme złoto. W kolejnym sezonie na pięć kolejek przed końcem prowadził zdecydowanie Raków, pieczętując na koniec historyczne mistrzostwo kraju. Rok temu po raz pierwszy w dziejach klubu świętowała tytuł Jagiellonia.

Per analogiam

Trzymając się tej analogii, dziś pod Jasną Górą powinny ruszyć przygotowania do mistrzowskiego bankietu. Podobną opinię wyraził urodzony w Truskolasach koło Częstochowy były selekcjoner Jerzy Brzęczek. – W Częstochowie mogą się już z wolna szykować do fety z okazji drugiego w historii tytułu. O sile Rakowa wciąż decydują ci sami zawodnicy, którzy poprzednim razem sięgali po tytuł. To pokazuje, jak ważne są stabilność kadry i ciągłość pomysłu trenerskiego na grę zespołu – stwierdził były piłkarz Rakowa, który największe sukcesy w naszym kraju osiągnął z Lechem (mistrzostwo Polski w sezonie 1992/93).

Przewaga nad lechitami

Aktualnie w znacznie lepszej sytuacji jest ekipa Marka Papszuna. Ma dwa punkty przewagi nad lechitami, na dodatek także lepszy bilans bezpośrednich spotkań. Teoretycznie więc lider nie musi zwyciężyć we wszystkich trzech ostatnich meczach. Jeżeli bowiem w sobotę pokona u siebie Jagiellonię, to będzie mógł pozwolić sobie na remis w jednym z dwóch ostatnich meczów (Korona, Widzew). Jeśli natomiast w nadchodzących dwóch seriach Raków i Lech nie stracą punktów, to mistrza Polski poznamy dopiero w sobotę 24 maja. Dlaczego w naszych rozważaniach nie traktujemy poważnie zajmujących ostatnie miejsce na podium aktualnych mistrzów Polski? Ponieważ Jagiellonia w trzech ostatnich meczach wywalczyła zaledwie punkt, wygrała tylko jedno z sześciu spotkań i praktycznie sama wypisała się z gry o trofeum, choć naturalnie ma jeszcze matematyczne szanse. Mistrzowski tort i szampany to więc melodia dalszej przyszłości, ale pojawia się inny problem – walka o utrzymanie się na podium, bo chrapkę na zepchnięcie z niego Jagi mają czwarta w tabeli Pogoń i piąta Legia, która po zdobyciu Puchar Polski jest już pewna gry w europejskich pucharach. Gdyby ta sztuka udała się Dumie Pomorza lub legionistom, na Podlasiu marzenia o ponownym zaprezentowaniu się na międzynarodowych arenach trzeba byłoby odłożyć co najmniej na rok.

8:1 nic nie znaczy

W wyścigu o tytuł pozostały na 99,9 procent już tylko dwa zespoły. Kluczowa może okazać się najbliższa kolejka, w której ligowa czołówka zmierzy się ze sobą. Dojdzie w niej do bezpośrednich superhitów, czyli starć Rakowa z Jagiellonią w Częstochowie oraz Legii i Lecha na Łazienkowskiej. Trzymając się statystyk, wydaje się, że w uprzywilejowanej sytuacji są podopieczni trenera Papszuna, którzy nawet w przypadku potknięcia w starciu z aktualnym mistrzem kraju nadal wszystko będą mieli w swoich nogach. Lecha czeka natomiast wyjazd do stolicy, skąd ostatni raz przywiózł komplet punktów dość dawno, bo 17 października 2021 roku po golu Mikaela Ishaka. – Najbliższa kolejka to będzie punkt kulminacyjny – uważa z krwi i kości warszawiak, Michał Żewłakow. – Przestałem wierzyć w Lecha, który zdolny jest do ładnej gry, ale który w 2025 roku wygrał raptem jeden ważny mecz, na Pogoni. Inne mecze były efektowne, cieszyły oko, ale nie dały poczucia, że lechici będą walczyli o najwyższe cele. Dlatego mam wrażenie, że w obliczu mistrzostwa ich zwycięstwo z Puszczą aż 8:1 nic nie znaczy. Było co najwyżej bardzo dobrym przetarciem przed Legią – tłumaczył „Żewłak" w Kanale Sportowym, a my dodajmy, że w sobotę, na dwie godziny przed północą, Kolejorz będzie już wiedział, czy ewentualna wygrana w niedzielę w Warszawie pozwoli mu objąć prowadzenie w tabeli.

Zbigniew Cieńciała

BEZPOŚREDNIE MECZE PROWADZĄCEJ TRÓJKI

Raków - Lech 0:0
Lech – Jagiellonia 5:0
Jagiellonia – Raków 2:2
Lech – Raków 0:1
Jagiellonia – Lech 2:1
Raków – Jagiellonia?

TERMINARZ RAKOWA

10 maja (sobota, 20.15): Jagiellonia (dom)
17 maja (sobota, 20.15): Korona (w)
24 maja (sobota, 17.30): Widzew (d)

TERMINARZ LECHA

11 maja (niedziela, 17.30): Legia (w)
18 maja (niedziela, 17.30): GKS (w)
24 maja (sobota, 17.30): Piast (d)

TERMINARZ JAGIELLONII

10 maja (sobota, 20.15): Raków (w)
16 maja (piątek, 20.30): Śląsk (w)
24 maja (sobota, 17.30): Pogoń (d)



Fot. Grzegorz Misiak / Press Focus

Radość to ostatnio najczęściej oglądany obrazek po występach Medalików.

Sport ac5cf73c67

Nikt nie zadzwonił

Rozmowa z **Józefem Wandzikiem**, 52-krotnym reprezentantem Polski, uczestnikiem MŚ 1986, czterokrotnym mistrzem Polski z Górnikiem Zabrze, trzykrotnym mistrzem Grecji z Panathinaikosem, z którym zagrał w półfinale Champions League w 1996 roku



Górnik poinformował, że dwuletni kontrakt z klubem podpisał 24-letni grecki napastnik Theodoros Tsirigotis. U źródła chciałem sprawdzić, co o nim można powiedzieć. To dobry transfer Górnika?

– To perspektywiczny zawodnik, który w Grecji bardzo dobrze prezentował się na boiskach drugoligowych w Iraklisie, gdzie strzelił sporo bramek (21 w 25 grach – przyp. MZ).

Czy to piłkarz znany na greckim rynku? Wcześniej był m.in. w Panathinaikosie.

– Tak, był w Panathinaikosie, ale w drugim zespole. To tak, jak w dużych klubach, w Realu, Barcelonie czy gdzie indziej, w tych zespołach jest wielu graczy i część z nich występuje w rezerwach. Tak też było w przypadku Tsirigotisa. Był też w innych klubach, a poprzedni sezon spędził w Iraklisie, gdzie bramek nastrzelał naprawdę dużo. To niebezpieczny zawodnik dla obrońców. Pamiętajmy jednak, że był to poziom drugoligowy. Skauci Górnika widzą w nim potencjał i oby było z nim tak samo, jak w przypadku Giakoumakisa.

Właśnie Georgios Giakoumakis, który z powodzeniem grał w Górniku w czasie pandemii w 2020 roku...

– Pokazał się w Zabrzu z dobrej strony, potem był królem strzelców ligi holenderskiej, przez szkocki Celtic trafił do Ameryki, gdzie został wicekrólem strzelców w MLS, a teraz występuje w Meksyku. Bardzo dobry napastnik!

A czy przy transferze Theodorosa Tsirigotisa skauting Górnika kontaktował się z panem? Przecież piłkarski rynek Grecji zna pan na wylot, mieszkając w niej od 1990 roku.

– Nie, nikt się ze mną nie kontaktował. Kiedy do Górnika trafiał Giakoumakis i prawy obrońca Vasilantonopoulos, rozmawiałem i z ówczesnym dyrektorem sportowym Arturem Płatkiem, i z prezesem Darkiem Czernikiem. W przypadku przejścia do Górnika obrońcy Evangelou też był kontakt z klubu. Teraz go nie było. No, ale wychodzi na to, że chyba w Polsce więcej wiedzą na temat futbolowego rynku Grecji niż ja czy Krzysiu Warzycha. W takim razie niech sami sobie wybierają graczy…



Fot. gornikzabrze.pl

Theodoros Tsirigotis podpisał z Górnikiem dwuletni kontrakt.

W ekstraklasie świetnie sobie radzi zmierzający po koronę króla strzelców Efthymis Koulouris. Czy o jego strzeleckich wyczynach w Polsce pod Akropolem jest głośno?

– Mnie on się zawsze podobał. Potrafi się znaleźć w polu karnym, potrafi strzelić, świetnie się zastawia, ma smykałkę do zdobywania bramek. Mówi się o nim, pisze, ale tutaj patrzy się głównie na zespoły z top 4, czyli Panathinaikos, Olympiakos, PAOK i AEK. Pisze się, że może wrócić do Grecji, że ma propozycje z innych krajów, no ale to takie dziennikarskie spekulacje, trudno mi powiedzieć, ile w tym prawdy. Tutaj Koulourisa przyjęliby z otwartym ramionami. Czy mógłby trafić do Panathinaikosu? Jest Świderski, ma trafić jeszcze napastnik reprezentacji Grecji, ale o Koulourisie nie słyszałem. Zresztą w Grecji nie brakuje dobrych zawodników, a ci, którzy trafiają do Polski, to wszędzie się sprawdzają – w Rakowie, Pogoni, Cracovii, Górniku.

Rozmawiamy o Górniku, więc nie mogę nie zapytać o zwolnionego z funkcji trenera Jana Urbana, z którym grał pan w zabrzańskim klubie. Jak pan na to zareagował?

– Na pewno mnie to zabolało, bo Jasiu to przecież mój serdeczny przyjaciel. Teraz już jednak nic na to nie poradzimy, bo mleko się rozlało. O Janka się nie martwię, bo to przecież świetny fachowiec i szybko sobie znajdzie nowy klub. To trener z najwyższej półki, więc na złe mu to nie wyjdzie. Szkoda, że nie pociągnął tego w Górniku do końca sezonu, bo to byłoby najlepsze rozwiązanie.

Proszę powiedzieć, co słychać u Józefa Wandzika? Latem przyleci pan do Polski, na Śląsk?

– Nie wiem, będzie to zależało od letnich campów tutaj. Od siedmiu lat współpracuję z agencją ESFA, z którą organizujemy – we współpracy z PSV Eindhoven – futbolowe obozy. Są one organizowane dla dzieci od 8 do 15-16 lat. Rynek grecki jest popularny i ceniony. Wszyscy greccy piłkarze, którzy trafili do Eredivisie, sprawdzają się. Trafiają też do Belgii i też tam dają radę. Grecja ma wiele talentów, które się gubią, wielu jednak z tych, którzy wyjeżdżają, daje sobie radę. Oprócz tego jestem też trenerem bramkarzy w klubie GS Marko, z którym awansowaliśmy właśnie do II ligi, na zaplecze Super Ligi. Byłem w klubie dyrektorem sportowym, ale siedzenie za biurkiem to nie dla mnie. Wolę ruch i pracę na boisku!

Rozmawiał Michał Zichlarz

Korona patrzy z góry

Jeśli po jesieni jest ci smutno i źle, zrób wszystko, żeby wiosną poprawić sobie nastrój.

KORONA KIELCE

Kielczanie efektownie wcielają w życie to założenie. Trudno dziś uwierzyć, ale przecież na półmetku rozgrywek ta drużyna zajmowała miejsce spadkowe. Po meczu z GieKSą w Kielcach wskoczyła właśnie do górnej połówki tabeli, na ósme miejsce. Trener Jacek Zieliński może być więc dumny ze swoich podopiecznych. Wypaliło! Miejscowi nie mogą się zespołu nachwalić, pieszczotliwie – jak słyszałem na ostatnim meczu w Kielcach – nazywają go „Koroneczką". Dają wyraz zadowoleniu, poprzez frekwencję: na spotkaniu z GieKSą, w którym obu rywalom nie grozi ani mistrzostwo, ani spadek – pojawiło się ponad 10 tysięcy kibiców.

Zanim zejdziesz do szatni

Widząc formę Korony wiosną, ledwie można sobie przypomnieć, że po 17. kolejkach jej ligowy byt był zagrożony. Zajmowała 15. miejsce, wyprzedzając jedynie Lechię i Śląsk, z ledwie czterema zwycięstwami na koncie. Teraz ma ich 11 i wskoczyła do górnej połówki. Wiosną idzie jak burza – przegrała tylko dwa mecze, z Radomiakiem u siebie i z Lechem w Poznaniu. Exbud Arena stała się teraz twierdzą, poległ tam m.in. ciągle aktualny mistrz Polski z Białegostoku, a teraz GieKSa.

W poniedziałkowy wieczór doszło do starcia dwóch sposobów gry – wyrafinowanego, przemyślanego katowiczan i bardziej siłowego, fizycznego gospodarzy. Górą okazał się ten Korony, i to w momencie, gdy wydawało się, że może nie uratować nawet remisu. Kielczanie wiosną strzelili już cztery gole do szatni. Pod tym względem mecz z Katowicami był najbardziej spektakularny: do szatni Jewgenij Szykawka na 1:0 w pierwszej połowie i do szatni Dawid Błanik na 2:1 w drugiej.

Wiosną udało się to wcześniej dwa razy – z Piastem w Gliwicach: Pau Resta do szatni na przerwę (choć przyznać trzeba, że ich broń zawiodła w drodze do szatni w drugiej połowie, bo stracili zwycięstwo w ostatniej minucie); z Zagłębiem w Lubinie: Miłosz Trojak do szatni na koniec meczu (uratowany remis).

Maska nie pomoże

Po spotkaniu przyglądałem się, jak piłkarze gospodarzy fetowali zwycięstwo ze swoimi rodzinami i wdzięcznymi kibicami, z którymi robili sobie wspólne fotki. Widać było, że wszyscy przeżywają zwycięstwo, które przyszło przecież w niezwykłych okolicznościach. – Najlepszym podsumowaniem tego meczu jest radość po zwycięskiej bramce Dawida Błanika. Mimo że zostaliśmy przetrzebieni jak w bitwie pod Grunwaldem, to zespół fajnie walczył. Mieliśmy ułożone to spotkanie, jednak w drugiej połowie spuściliśmy nogę z gazu. To fajnie, że tak zareagowaliśmy po stracie gola i budujemy twierdzę Kielce. Duże słowa uznania dla chłopaków – mówił po meczu zadowolony trener Zieliński. Mówiąc o Grunwaldzie, miał na myśli złamany nos Cypryjczyka Kostasa Sotiriou, który na początku drugiej połowy został przypadkowo trafiony ręką w twarz przez Filipa Szymczaka. – Kostas ma złamany nos, ale nie w jednym, lecz w paru miejscach. Wygląda to naprawdę fatalnie. Pojechał na zabieg do szpitala. Dojdą jakieś sprawy laryngologiczne. W następny meczu na pewno nie zagra. Tu nawet maska nie pomoże – stwierdził Zieliński.

Co z tym omletem

Kolejny dobry mecz zagrał chyżonogi skrzydłowy Mariusz Fornalczyk. Dryblował, podawał, strzelał, widać go było na boisku. To po jego dograniu na 1:0 trafił przed przerwą Szykawka. Mógł być nawet bohaterem, bo po kilkudziesięciu sekundach przejął piłkę i mógł podwyższyć, jednak w idealnej wręcz sytuacji spisał się źle, uderzając w aut. Domorośli poeci futbolowi dziwiliby się, że „mając taką patelnię, nie potrafił wysmażyć bramkowego omletu". Kibice jednak szybko mu to zapomnieli. Zawsze zapomina się na końcu, jeśli wynik się zgadza.

Jeszcze jedno: kiedyś Korona, zwłaszcza za czasów Leszka Ojrzyńskiego, kojarzyła się z rąbanką. Teraz, za Jacka Zielińskiego, też gra agresywnie, z zębem, ale stać ją również na zagrania... wzniosłe. Podanie zewnętrzną częścią stopy przez Wiktora Długosza przy golu Błanika to była piłkarska poezja. Nie wychwyciłbym tego, nie dojrzałem tego zagrania z trybun, ale opuszczający stadion kibice Korony aż mlaskali nad nim z podziwu, więc doszło do mnie, że przypadku w tym drugim golu nie było, wręcz przeciwnie. Co mnie dziś najbardziej ciekawi? Czy Korona w pierwszej rundzie następnego sezonu będzie jak zeszłą jesienią, czy raczej tendencja zwyżkowa zostanie utrzymana. Zastanawiam się nad tym, bo w naszej lidze niczego nie można być pewnym.

Paweł Czado



Fot. PAP / Piotr Polak

Piłkarze Korony mają powody do satysfakcji. Tu radość po pierwszym golu w meczu z GieKSą.

Sport ac5cf73c67



Fot. Katarzyna Dzierzyńska / Press Focus

Pomocnik Pogoni Kacper Smoliński (z prawej) wierzy, że jego drużyna zakończy sezon na trzecim miejscu.

Tydzień łez

Porażkę w finale krajowego pucharu Duma Pomorza chce sobie zrekompensować w rozgrywkach ligowych.

POGOŃ SZCZECIN

Autorem jednej z bramek dla Pogoni w finałowej potyczce Pucharu Polski był Kacper Smoliński. – Strzelony przeze mnie gol stanowi marne pocieszenie – przyznał 24-letni pomocnik. – Oddałbym go za pierwsze trofeum w historii naszego klubu. Strasznie mi przykro i pozostałym kolegom z drużyny też. Ale mamy jeszcze o co grać w lidze, dlatego trzeba szybko się podnieść i iść dalej. Niestety, w stolicy zawiedliśmy cały Szczecin, naszych kibiców, tych przed telewizorami i tych, którzy przyjechali specjalnie dla nas do Warszawy. Drugi rok z rzędu przegraliśmy finał. Jesteśmy bardzo smutni z tego powodu. Spotkanie finałowe to jeden mecz. I nieważne, w jaki sposób się gra. Liczy się to, który zespół zwycięża.

Nie traci nadziei

Popularny „Smoła", który od urodzenia związany jest ze Szczecinem, od dziecka marzył, żeby występować dla drużny Portowców. – Jestem załamany, bo pierwszy Puchar Polski dla Pogoni był w zasięgu ręki – stwierdził wychowanek Granatowo-bordowych. – Jednak wierzę, że kiedyś dopniemy swego. Razem wygrywamy jako drużyna, razem też przegrywamy. W tym momencie nie ma zatem sensu na siłę szukać winnych i wskazywać, kto dokładnie popełnił indywidualne błędy. Przyjechaliśmy z nastawieniem, żeby wygrać. Wiosną gramy bardzo dobry futbol, jeden z najlepszych w Polsce. Marzenia były ogromne i wierzyliśmy w to, że przywieziemy puchar do Szczecina.

W tej chwili podopieczni trenera Roberta Kolendowicza tracą trzy punkty do zajmującej w tabeli trzecie miejsce Jagiellonii Białystok, lecz rozegrali o jeden mecz mniej niż zespół Adriana Siemieńca. – Trzecie miejsce w lidze jest jak najbardziej realne – przekonuje Smoliński. – Owszem, jeszcze odczuwamy smutek i niezadowolenie, natomiast od soboty skupiamy się na meczu z Radomiakiem. W naszym przypadku sezon się nie skończył, cały czas mamy szansę na medal.

Blisko i daleko

Młodszemu koledze wtórował kapitan Pogoni, Kamil Grosicki. – Byliśmy blisko sukcesu, jednak finalnie cały czas czegoś nam brakuje – powiedział popularny „Grosik". – To dla nas kolejna lekcja. W tamtym roku przepraszałem za to, jak zaprezentowaliśmy się w finale, natomiast teraz jestem dumny z tego, że doszliśmy tak daleko i mogliśmy wystąpić na Stadionie Narodowym. Żeby zagrać w finale, trzeba sobie na to zasłużyć i wykonać kawał ciężkiej pracy. Przegraliśmy i jesteśmy smutni, bardzo rozczarowani z tego powodu. Mam nadzieję, że ten mecz z Legią zbuduje jeszcze mocniejszą w wiarę w ten zespół, w ten klub. I w końcu kiedyś to my będziemy się cieszyć ze zdobytego tytułu. Owszem, ktoś może stwierdzić, że łatwo mi tak mówić, ale przed rokiem obiecałem, że tu wrócimy i jako drużyna słowa dotrzymaliśmy. Chciałbym bardzo podziękować naszym kibicom za to, jak świetną atmosferę stworzyli na trybunach, za wsparcie, które nam dawali, zwłaszcza po ostatnim gwizdku sędziego.

Za dużo błędów

Co w ocenie „Grosika" było kluczem do zwycięstwa rywala? – Legia miała więcej indywidualności, więcej piłkarzy z dużą jakością, którzy potrafili zdobyć bramkę czy dać asystę do kolegi – przyznał 36-letni skrzydłowy. – Daliśmy jednak z siebie wszystko, strzeliliśmy trzy gole, ale w ostatecznym rozrachunku nic nam one nie dały. W przerwie bardzo mocno się motywowaliśmy, wiedzieliśmy, że w drugiej połowie mamy szansę zagrać dużo lepiej niż w pierwszej. Mieliśmy też świadomość, że Legia może mieć w drugiej części problemy z fizycznością, bo w tym sezonie zagrała ponad 50 meczów. Tyle że w momencie, gdy zaraz po wznowieniu straciliśmy bramkę na 1:2, zmieniły się całkowicie założenia i obraz meczu. Znowu musieliśmy gonić wynik. Futbol to gra błędów, my ich popełniliśmy za dużo, a na pewno więcej od przeciwnika. Dla nas sezon jeszcze się nie skończył, mamy o co grać w lidze, ponieważ jest szansa na medal.

Już w sobotę o godzinie 14.45 Dumę Pomorza czeka pierwszy egzamin, bo na jej drodze stanie Radomiak. Tylko wygrana prolonguje nadzieje drużyny ze Szczecina na zajęcie miejsca na podium.

Bogdan Nather

Wisła na tym zyska

Rozmowa z **Tomaszem Marcem**, dyrektorem Zarządu Infrastruktury Sportowej w Krakowie

Przez 14 lat po przebudowie stadionu Wisły nie udało się pozyskać dla niego sponsora tytularnego. Dlaczego tym razem ma się udać?

– Podeszliśmy do konkursu zupełnie inaczej. Najważniejsza jest dla nas współpraca z klubem, dla którego ten obiekt jest domem. Bez Wisły i bez meczów z udziałem klubu trudniej byłoby ogłosić konkurs i zachęcić firmy, by chciały się reklamować jako sponsor tytularny stadionu miejskiego. Mam nadzieję, że oferta przygotowana we współpracy z klubem będzie na tyle atrakcyjna, że będziemy mogli przystąpić do drugiego etapu konkursu i zaprosić firmy na negocjacje. Świadczenia są podzielone: jest część, którą oferuje Zarząd Infrastruktury Sportowej jako zarządca obiektu, ale jest cały pakiet działań marketingowych przygotowany przez Wisłę. Jest to m.in. reklama na telebimach i bandach LED w trakcie spotkań, na które średnio przychodzi blisko 20 tysięcy osób. Ta promocja może dotrzeć do sponsorów i partnerów Wisły, więc obecnie zasięg konkursu będzie zupełnie inny.

30 MAJA mija termin nadsyłania zgłoszeń do konkursu na sponsora tytularnego stadionu im. Henryka Reymana.

Samo ogłoszenie konkursu i liczenie, że chętne firmy będą się bić o to, by zostawić w Krakowie kilka milionów złotych, może nie wystarczyć.

– Prowadziliśmy nieoficjalnie rozmowy, ale również staraliśmy się przekazać potencjalnie zainteresowanym podmiotom, że konkurs jest w przygotowaniu i wkrótce zostanie ogłoszony. To jest rola ZIS-u i klubu. Tu kluczowa jest współpraca – bez niej nie osiągniemy rezultatów, które sobie założyliśmy. Zachęcamy do udziału w konkursie. Warto zwrócić uwagę na zapis w regulaminie, który mówi o tym, że oferta może być negocjowana. Zależy nam na partnerstwie, a nie tylko na tym, by ktoś położył pieniądze na stole.

Wisła gwarantuje świadczenia, które mają swoją wartość. Gdyby zapytać kibiców, to pewnie wielu odpowiedziałoby, że powinna płacić mniej za korzystanie ze stadionu. Tak będzie?

– Mamy podpisaną umowę, która gwarantuje, że w przyszłości obie strony będą zadowolone z tej współpracy. Klub z pewnością na tym zyska, bo w przypadku podpisania umowy ze sponsorem tytularnym będą mu się należały świadczenia pieniężne. Ustaliliśmy konkretny podział środków dla miasta i Wisły.

W ostatnim czasie udało się znaleźć sponsorów dla Stadionu Śląskiego w Chorzowie i Odry Opole. To dla was dobre wiadomości, bo pokazują, że można?

– Cały czas obserwujemy rynek. Termin inauguracji konkursu nie jest przypadkowy. Został ogłoszony 29 kwietnia ze względów formalnych, bo zdajemy sobie sprawę, że cały proces może potrwać. Trzeba będzie szczegółowo zweryfikować oferty i przeprowadzić negocjacje. Uważam, że jesteśmy w stanie podpisać umowę przed startem nowego sezonu, by nowy sponsor obiektu mógł zaistnieć od pierwszego meczu Wisły w kolejnych rozgrywkach. Takie rozwiązanie będzie również najkorzystniejsze z jego perspektywy. Widzę ogromny potencjał we współpracy z Wisłą, bo zapewnia nam to dużo większy zasięg niż w poprzednich konkursach i powiększa grono zainteresowanych podmiotów. Liczę, że wypracowany przez dziesięciolecia brand Wisły pomoże nam zachęcić sponsora do współpracy ze stadionem miejskim.

Podkreślał pan, że to ważny element całego procesu komercjalizacji stadionu. Czy jest zainteresowanie organizowaniem wydarzeń w pomieszczeniach stadionu?

– Zainteresowanie jest bardzo duże. W tym momencie negocjujemy różne formy współpracy, ale też cały czas analizujemy, co jeszcze umieścić w ofercie. W tym celu dokładnie badamy zapotrzebowanie rynku, aby nasza propozycja usług jak najpełniej mu odpowiadała. Kilka umów już podpisaliśmy, inne procedujemy.

Rozmawiał Michał Knura



Fot. Bartek Ziółkowski / wislakrakow.com

Tomasz Marzec w przeszłości był m.in. prezesem Wisły Płock.

Sport ac5cf73c67

Kapitan na ramionach kibiców

Trójmiasto to teraz Gdynia, Wodzisław Śląski i Jastrzębie-Zdrój – zapewnia Dawid Gojny.

Wśród wielu obrazków radości kibiców Arki Gdynia, fetujących awans do ekstraklasy, jeden był szczególny. Na ramionach fanów Żółto-niebieskich jako pierwszy znalazł się wodzisławianin Dawid Gojny i po chwili fruwał pod gdyńskim niebem, podrzucany przez sympatyków jedynej niepokonanej w tym roku drużyny w I lidze. – Nie spodziewałem się takiego finału – mówi kapitan Arki. – Było to niezapomniane i bardzo fajne uczucie, bo rzadko się zdarza, żeby kibice nosili zawodników na rękach. To wszystko było jednak tak spontaniczne i w żaden sposób nierezyserowane, że trudno mi powiedzieć, czy to ja jako pierwszy wystrzeliłem w powietrze, czy może ktoś inny. Radość rozlała się bowiem na całą murawę i w kilku miejscach na różne sposoby nasi fani cieszyli się z nami z awansu, który zapewniliśmy sobie trzy kolejki przed końcem sezonu, pokonując na naszym boisku wicelidera. Jestem dumny z tego, że kibice docenili mój wkład w mój pierwszy w życiu wywalczony awans. Zapanował taki chaos, że trudno było dostrzec, czy faktycznie byłem pierwszym podrzucanym. Na pewno na taki zaszczyt zasłużył Michał Marcjanik, arkowiec z krwi i kości, grający w tym meczu 300. spotkanie w koszulce z kotwicą na piersi. Zresztą nie tylko on, ale każdy z zawodników, którzy przyczynili się do tego awansu. Każdy był tego dnia noszony na rękach, bo pięć lat czekania na powrót do ekstraklasy zrobiło swoje i ta tęsknota w końcu została zaspokojona.



Fot. Piotr Matusewicz / Press Focus

Dawid Gojny (z lewej) chciałby pograć w Arce jeszcze kilka lat, ale decyzja nie należy do niego.

Piłkarskie marzenie

Wychowanek Odry Wodzisław Śląski, który swoją grę na szczeblu centralnym rozpoczął 1 sierpnia 2014 roku w drugoligowym ROW-ie Rybnik od zwycięstwa 2:1 – co ciekawe – z Rakowem Częstochowa, zdecydowaną większość j kariery spędził w województwie śląskim. 3 stycznia 2023 roku wyruszył jednak na drugi koniec Polski, podpisując kontrakt na 3,5 roku i w wieku 30 lat spełnił swoje piłkarskie marzenie. – Tego sukcesu w moim przypadku nie można mierzyć tylko futbolową miarką – zaznacza Gojny. – Dwa i pół roku temu stanęliśmy z całą rodziną przed ogromnym dylematem. Miałem przecież ważny kontrakt z Zagłębiem Sosnowiec, w którym czułem się bardzo dobrze. Grałem w I lidze od deski do deski i ledwo co przedłużyłem kontrakt, a oferta z Gdyni pojawiła się nagle i wiązała się z pierwszym w życiu wyjazdem z rodziną poza województwo śląskie. Przeprowadzka, i to w dodatku tak daleka, zawsze jest niewiadomą, a ponadto wiązała się ona z misją wywalczenia z Arką awansu do ekstraklasy, co też podnosiło skalę trudności. Doskonale pamiętam ten czas, w którym żona powiedziała „tak", a ja po dogadaniu się w Sosnowcu wsiadłem w samochód i pojechałem do Gdyni. Podpisałem kontrakt, załatwiałem sprawy związane z mieszkaniem, szkołą dla starszej i przedszkolem dla młodszej córki, ale przede wszystkim wchodziłem do nowej szatni. Aklimatyzacja i moja, i najbliższych przebiegła bardzo dobrze, choć pierwsze pół roku było nieudane, bo nie weszliśmy nawet do baraży. Następny sezon był już znacznie lepszy, bo byliśmy praktycznie przez cały czas na miejscu dającym awans, aż do 3 maja, bo wtedy złamałem rękę. Ostatnie trzy mecze oglądałem więc z trybun i nagle awans uciekł. Patrzyłem z boku, jak okazja wejścia do ekstraklasy przelatuje mi koło nosa. Bolało więc podwójnie, ale też podziałało mobilizująco, bo przed tym sezonem powiedziałem sobie, że nic mi nie może przeszkodzić i dotrzymałem słowa. Wystarczyło 31 kolejek i jako kapitan mogę zameldować wykonanie zadania. Podsumowując więc ten czas spędzony w Gdyni, dziś mogę powiedzieć, że dwa i pół roku temu podjąłem dobrą decyzję, ale początek nie był wcale łatwy. Dlatego podziękowania należą się też żonie i córkom, bo ich zgoda na przeprowadzkę otworzyła mi drogę do ekstraklasy. Dziękuję im za to, że dały mi szansę udowodnienia sobie i tym, którzy wcześniej tej szansy nie chcieli mi dać, że wcale nie jestem piłkarskim „ogórkiem". Wiem, że mam 30 lat, ale jestem pewien, że dam radę i swoim charakterem i umiejętnościami udowodnię, że gra w ekstraklasie mi się należy i jeszcze w niej parę lat pogram.

Podnoszą poprzeczkę

Dawid Gojny, ciesząc się z awansu do ekstraklasy, czeka na swój debiut w najwyższej klasie rozgrywkowej, mówiąc, że to będzie jego piłkarska wisienka na torcie, ale są wokół niego ludzie, którzy... podnoszą poprzeczkę. – Niesamowite wsparcie otrzymałem od samego początku od kibiców – wspomina lewy obrońca Arki. – Zostałem ciepło przyjęty i słyszałem słowa, że to bardzo dobre posunięcie klubu i wzmocnienie drużyny. Czułem więc wsparcie i szacunek, bo podkreślali to, że oddaję zespołowi serducho i pokazuję charakter prawdziwego boiskowego wojownika. Pomogła mi też na pewno bramka strzelona w debiucie na gdyńskim boisku w meczu z Wisłą Kraków. Do tego doszła jeszcze akceptacja w szatni, bo już od początku następnego sezonu zostałem kapitanem i naprawdę bardzo szybko poczułem się ważną postacią naszej arkowej rodziny. Nie znaczy to jednak, że jestem typowym piłkarskim przywódcą. W kadrze Arki było i jest sporo znaczących postaci, takich jak Michał Marcjanik, Janusz Gol, Martin Dobrotka, Przemek Stolc, Joao Oliveira czy Damian Węglarz, a ja starałem się i nadal się staram, żeby to grupa nadająca ton w szatni była mocna. Każdy, kto jest w radzie drużyny, ma tak samo ważne słowo i to działa. Zresztą każdy zawodnik od kapitana przez młodych zdolnych z Filipem Kocabą na czele aż do ostatniego rezerwowego ma swoją ważną funkcję oraz te same prawa i obowiązki, bo razem tworzymy kolektyw, a ja tylko noszę opaskę i pełnię rolę reprezentanta drużyny. Wszystko funkcjonuje na zdrowych zasadach i myślę, że to też miało duży wpływ na to, że osiągnęliśmy ten wynik. Niejedna drużyna po wtopie sprzed roku pewnie by się nie podniosła. Natomiast my pod wodzą Tomasza Grzegorczyka jesienią pokazaliśmy charakter, a wiosną dorzuciliśmy skuteczność. To w sumie dało awans już na trzy kolejki przed końcem sezonu. Duża w tym zasługa trenera Dawida Szwargi, który jest najlepszym szkoleniowcem, z którym miałem okazję współpracować. To on pół roku temu pytając mnie o piłkarskie marzenia i słysząc moją odpowiedź, powiedział mi, że gra w ekstraklasie to za mało i trzeba sięgać wyżej. Ekstraklasę mi wtedy zagwarantował i dodał, że muszę skorygować marzenia. On swoje zapewnienie wykonał, więc i ja muszę mu dalej wierzyć oraz podnieść sobie poprzeczkę, bo trener Szwarga nie rzuca słów na wiatr. Jeżeli więc będziemy dalej współpracować, to możemy dojść naprawdę wysoko. Po niedzielnym meczu żartowałem z asystentem Tomkiem Włodarkiem, bo trener Szwarga był rozchwytywany przez media i kibiców, więc nie było czasu na spokojną rozmowę, że Trójmiasto to teraz Gdynia, Wodzisław Śląski i Jastrzębie-Zdrój (stamtąd pochodzi szkoleniowiec Arki – przyp. red.). Chłopaki ze Śląska musiały przyjechać nad morze, żeby zrobić awans do ekstraklasy.

Zostać w Gdyni

Czas spędzony w Arce przez Gojnego, czyli 2,5 roku, można podzielić na kilka okresów. Brak awansu, zmiany właścicielskie, bojkot kibiców i odrodzenie to sporo jak na 28 miesięcy w życiu piłkarza. – Tak naprawdę w tym sezonie mieliśmy wreszcie „czystą głowę" – zapewnia piłkarz. – Wszystko w miarę funkcjonowało tak, jak powinno w klubie walczącym o ekstraklasę, a trener Szwarga mówi, że teraz jest jeszcze dużo do poprawy, żeby ten klub poszedł wyżej. Znając tego szkoleniowca, wiem, że on postawi na swoim i Arka pod jego okiem, człowieka, który poświęca się dla klubu nie na sto, a na trzysta procent, może dojść wysoko. Nie ukrywam więc, że chciałbym być częścią tego projektu. Sytuacja jest jednak skomplikowana. Kontrakt mam ważny do końca 30 czerwca przyszłego roku. Nie ukrywam, że mam dylemat. Jeżeli miałbym grać dalej w Arce, to chciałbym mieć ten kontrakt przedłużony na tyle, żeby się już zadomowić. Jeżeli klub podpisze ze mną umowę na kilka lat, to wtedy żona poszuka tu pracy, a córki – jedna chodząca do czwartej klasy i druga do pierwszej – będą już może myślały nawet o tym, żeby pozostać tu na stałe. Jeżeli więc klub wyjdzie z satysfakcjonującą ofertą, to jesteśmy gotowi zostać w Gdyni, a jeżeli nie, to będziemy się przymierzać do powrotu w rodzinne strony. Jesteśmy w pełni zadowoleni z pobytu nad morzem. Żyje się nam tu dobrze, żona i córki nawiązały znajomości, a ja w Arce zagrałem wszystko, co się dało, więc władze klubu nie „kupują kota w worku". Żeby podpisać umowę, potrzebna jest chęć dwóch stron, a na razie wychodzi na to, że bardziej my jesteśmy zainteresowani niż klub, więc czekam na następny krok. Od właściciela i innych ludzi związanych z klubem oraz trenera słyszę często, że jestem drużynie potrzebny i ważny, ale to nie przekłada się na korzyści, dzięki którym mógłbym dać trochę spokoju rodzinie. Klub zdaje sobie sprawę, że moje aktualne warunki są, delikatnie mówiąc, przeciętne. Jednak to włodarze Arki muszą ocenić, czy Gojny przyda się drużynie, czy nie. Ja chętnie zostałbym na kolejne trzy lata w klubie, ale też mam swoje emocje i chciałbym czuć, że jestem chciany, ważny i potrzebny. Jednak w tym momencie koncentrujemy się jeszcze na finiszu tego sezonu, bo choć awans mamy już zapewniony, to trener Szwarga nie pozwoli na rozluźnienie. Mistrz, jak niego przystało, ma do końca grać na najwyższych obrotach i na każdy mecz wychodzić, żeby walczyć o pełną pulę, kończąc tegoroczne występy bez porażki.

Jerzy Dusik

Sport ac5cf73c67



Fot. Press Focus

Dominik Preisler wie, jak odpowiednio ułożyć stopę do podania.

Nieoczywisty bohater

Raczej nikt nie przypuszczał, że pod koniec rundy wiosennej Dominik Preisler będzie postrzegany jako jeden z najlepszych, a może i najlepszy piłkarz Ruchu.

RUCH CHORZÓW

Przez całą jesień w Chorzowie słyszało się, że klub sonduje rynek w poszukiwaniu lewonożnego środkowego obrońcy. Zimą zrezygnowano z tego pomysłu, bo nie było nikogo ciekawego, a jeśli już był – to poza zasięgiem Niebieskich. Lewa noga w defensywie Ruchu jednak się pojawiła, tylko nieco inna niż wszyscy się spodziewali. Dominik Preisler jest bowiem ofensywnym bocznym obrońcą, mogącym występować też na wahadle, który odmienił postrzeganie tej flanki w ekipie pierwszoligowca.

Strzela i asystuje

Czeski zawodnik zadebiutował w historycznym meczu z Wisłą Kraków przy ponad 50-tysięcznej publice. Potem jego wejście w zespół zahamował uraz, ale kiedy zaczął już grać, szybko okazało się, że to nie byle kopacz. W ostatnich miesiącach nie było bowiem w Ruchu zawodnika z tak znakomicie ułożoną stopą, która w każdym spotkaniu serwuje co najmniej kilka groźnych dośrodkowań. Chyba nie ma meczu, by z centry Preislera nie było jakiegoś zagrożenia (inna sprawa, czy jego podanie jest potem odpowiednio finalizowane). Po dziewięciu występach w I lidze piłkarz, który 20 września skończy 30 lat, ma dwie bramki i dwie asysty. Strzelił Miedzi Legnica i ostatnio Warcie Poznań, a asystował dwukrotnie Somie Novothny'emu w Kołobrzegu. A przy odrobinie precyzji (głównie ze strony kolegów) liczb po swojej stronie mógłby mieć jeszcze więcej! Wiosną chorzowianie zawodzili po całości, ale akurat Preislera nikt się nie czepiał. W ogóle okazało się, że gracze sprowadzeni zimą okazali się trafieni – bo jeszcze Jehor Cykało (kolejny defensor z ofensywnymi inklinacjami) oraz Jakub Bielecki (błędów się nie ustrzegł, ale korzysta na nijakości Martina Turka).

Porządkowanie kadry

Chorzowianie skorzystali na problemach, jakie miał Slovan Liberec, były klub Preislera. Zespół zaczął sezon w niezadowalającym stylu i „kręcił się" w okolicach grupy spadkowej, podczas gdy raczej przyzwyczaił do występów – może nie corocznych, ale regularnych – w europejskich pucharach. W Libercu stwierdzili, że ta zniewaga zmian wymaga i już zimą zabrali się za porządkowanie kadry. Postanowili między innymi nie przedłużać wygasającej latem umowy Preislera – albo piłkarz zostałby w Slovanie i był traktowany tak, jak każdy inny (bez żadnego Klubu Kokosa), a następnie odszedł za darmo, albo zmieniłby barwy już zimą. Wybrał tę drugą opcję. – Przez całą zimę rozmawialiśmy z moim agentem o otwarciu nowego rozdziału. Całe dotychczasowe życie grałem w Czechach i teraz chciałem spróbować czegoś nowego – powiedział Dominik Preisler.

Ekstraklasowe doświadczenie

Obrońca urodził się w Pradze. Jako 14-latek trafił do tamtejszej Dukli, która wprowadziła go potem do seniorskiej piłki. Oczywiście najpierw był drugi poziom rozgrywkowy, gdzie w edycji 2019/20 w 29 występach strzelił sześć goli i zanotował osiem asyst. To przyciągnęło uwagę większych ekip. Po pół roku został wypożyczony do klubu z miasta Mlada Boleslav, który zdecydowała się go potem wykupić. Dukla chłodno podchodziła do rozwoju i sprzedaży swojego zawodnika. Wcześniej odrzucała dwie propozycje transferowe, zgadzając się dopiero na trzecią. Po Mladzie przyszedł czas na Slovana i tak Preisler w najwyższej czeskiej dywizji zagrał 137 razy. Dla porównania, w obecnym składzie Ruchu jest tylko czterech piłkarzy, którzy zaliczyli więcej meczów w polskiej ekstraklasie – Maciej Sadlok (364), Filip Starzyński (346), Martin Konczkowski (319) oraz Mateusz Szwoch (218). A liga czeska jest przecież obecnie w top 10 wszystkich lig europejskich!

Coś więcej niż I liga

Ostatnio jednak tak dobrze w ojczyźnie już Preislerowi nie szło. W Slovanie go pożegnano, ale na pewno jest to zawodnik z jakością na coś więcej niż nasza I liga. Ruch liczy, że w przypadku awansu do ekstraklasy Czech może być ważnym punktem zespołu, ale... kiedy to nastąpi? I czy Preisler nie będzie już za stary? To spokojny chłopak, trzyma się z Ukraińcem Cykałą i Słowakiem Denisem Venturą. Emanuje profesjonalizmem i za to w Chorzowie cenią go najbardziej.

Piotr Tubacki

Udana kadencja

W ciągu czterech lat Carlo Ancelotti dwukrotnie wygrał z Królewskimi Ligę Mistrzów. Teraz, gdy zespół jest w małym dołku, najprawdopodobniej rozwiąże umowę z Realem.

HISZPANIA

Wiele wskazuje na to, że w najbliższym czasie Carlo Ancelotti oficjalnie pożegna się z Realem Madryt. Usługami włoskiego szkoleniowca od dłuższego czasu jest zainteresowana brazylijska federacja piłkarska, która widzi go w roli selekcjonera. Teraz, gdy Królewscy radzą sobie gorzej, niż zakładano i klub także szuka nowego szkoleniowca, otwiera się furtka dla Brazylijczyków do zatrudnienia Ancelottiego. Początkowo trener nie potrafił porozumieć się z Realem w sprawie warunków rozwiązania umowy. Teraz jednak „The Athletic" informuje, że obie strony są zadowolone po wstępnych umowach słownych, a Włoch może już po najbliższym, niedzielnym El Clasico podpisać umowę z Brazylijczykami.

Nadszedł więc dobry moment na małe podsumowanie tego, czego dokonał Ancelotti podczas swojej drugiej kadencji w Realu Madryt (po raz pierwszy prowadził Los Blancos w latach 2013-15). Do zespołu dołączył w 2021 roku, w dość ciekawym momencie w klubowej historii. Real w latach 2016-18 zdominował Ligę Mistrzów, gdy jej trenerem był Zinedine Zidane. Po ostatnim z tych trofeów Francuz zdecydował się wycofać. Podobnie zresztą jak gwiazda zespołu Cristiano Ronaldo. Zatrudniony w roli opiekuna zespołu – w oparach skandalu – został Julen Lopetegui, ówczesny selekcjoner reprezentacji Hiszpanii, który miał lecieć z kadrą na mundial, a ostatecznie został zwolniony chwilę przed rozpoczęciem mistrzostw za negocjacje z Realem. Hiszpan pracował z Los Blancos zaledwie 120 dni. Później na chwilę funkcję trenera pełnił Santiago Solari, a następnie w 2019 roku wrócił Zidane. Kolejna kadencja była mniej udana, więc po dwóch latach zatrudniono Ancelottiego, który miał Realowi przywrócić blask i poprowadzić go do kolejnego zwycięstwa w Lidze Mistrzów. I to mu się udało.

W sezonie 2021/22, grając bez wspomnianego Ronaldo, który przez lata prowadził Królewskich do kolejnych sukcesów, Real wygrał w finale Ligi Mistrzów z Liverpoolem. Liderem zespołu został Karim Benzema, który pod wodzą Ancelottiego czarował na boisku. Nie bez powodu został wybrany także najlepszym piłkarzem na świecie, otrzymując Złotą Piłkę. W tym czasie włoski trener zdobył też mistrzostwo Hiszpanii. To nie był jednorazowy wystrzał, bo w sezonie 2023/24 powtórzył ten wyczyn. Tym razem wygraną w Lidze Mistrzów zawdzięcza swojemu trenerskiemu zmysłowi. Przez cały sezon grał praktycznie bez klasycznego środkowego napastnika (awaryjnie ściągnięty został Joselu, który głównie wchodził z ławki). Fałszywą „dziewiątką" był Jude Bellingham i ten ruch okazał się strzałem w dziesiątkę. Królewscy znów rządzili w Europie, a Ancelotti po raz piąty w karierze cieszył się z wygranej w Lidze Mistrzów. Znów triumfował też w Primera Division. Swój cel wypełnił więc w 100 procentach.

Coś się jednak wypaliło i obecny sezon już nie jest tak udany. Choć do drużyny dołączył Kylian Mbappe, w Realu nie widać blasku. Zespół odpadł z Ligi Mistrzów, przegrał w Pucharze Króla i choć dalej jest w grze o mistrzostwo kraju, mało który kibic wierzy w powodzenie tej misji. Formuła widocznie się wyczerpała i potrzebny jest nowy szkoleniowiec. Czy jednak ktokolwiek jest w stanie wskazać trenera, który lepiej pasuje do Realu od tak wybitnego jak Ancelotti?

■ Girona – Mallorca 1:0 (1:0)
1:0 – Stuani (10)

1. Barcelona	34	79	91:33
2. Real M.	34	75	69:33
3. Atletico	34	67	56:27
4. Athletic	34	61	50:26
5. Villarreal	34	58	60:47
6. Betis	34	57	52:42
7. Celta	34	46	52:52
8. Rayo	34	44	36:42
9. Osasuna	34	44	42:50
10. Mallorca	34	44	31:39
11. Sociedad	34	43	32:37
12. Valencia	34	42	40:51
13. Getafe	34	39	31:31
14. Espanyol	34	39	36:44
15. Girona	34	38	41:52
16. Sevilla	34	38	37:46
17. Alaves	34	35	35:46
18. Las Palmas	34	32	40:56
19. Leganes	34	31	32:51
20. Valladolid	34	16	25:83

1-5 – LM, 6-7 – LE, 8 – elim. LK

Kacper Janoszka



Fot. PAP / EPA

Wkrótce Carlo Ancelotti pożegna się z Realem, z którym sięgał po najważniejsze trofea.

Sport ac5cf73c67

Schorowane Wilki

Mijają dni, mijają lata, a Wolfsburg nadal nie potrafi się pozbierać i wrócić do bundesligowej czołówki, mimo że nie może narzekać na warunki.

3
TROFEA
zdobył w swojej historii VfL Wolfsburg. To mistrzostwo kraju z 2009 roku, a także krajowy puchar i superpuchar z 2015 roku.

NIEMCY

W mieście Volkswagena postanowili pożegnać się z trenerem Ralphem Hasenhuettlem. Austriak objął Wolfsburg w poprzednim sezonie, gdy ten walczył o utrzymanie i był na 14. lokacie. Sezon skończył na 12. miejscu i na tym samym... go teraz zostawił. W minionych rozgrywkach Wilki miały walczyć o Ligę Mistrzów, ale nie wyszło. Teraz też miały w planie, aby ruszyć po puchary (chociaż tej drugiej kategorii). Ponownie jednak jest, jak jest. Nie licząc samego początku rozgrywek, Wolfsburg tylko raz znajdował się w strefie dającej Europę. Obecnie zaś notuje serię ośmiu kolejek bez wygranej, w których zdobył tylko dwa punkty.

Nieprawdopodobne wyniki

Zwolnienie szkoleniowca na dwie kolejki przed końcem, kiedy i tak się o nic nie gra, tylko pokazuje, jak bardzo zdesperowani są działacze. A słuchy o pożegnaniu Hasenhuettla pojawiały się co jakiś czas już od jesieni. Władze trzymały jednak ciśnienie, ale do niczego to nie doprowadziło. W końcówce Wilki poprowadzi trener tymczasowy Daniel Bauer z drużyn juniorskich, a klub już zerka w stronę 37-letniego Jacoba Neestrupa z Kopenhagi i 51-letniego Alexandra Blessina, który jest o krok od utrzymania w Bundeslidze St Pauli. Szefostwo dało sobie trochę czasu i wysłało jasny sygnał, że latem w drużynie musi dojść do zmiany. Pod względem średniej wyceny składu Wolfsburg jest siódmą ekipą w lidze niemieckiej – z wyraźną stratą do sąsiadów w tym rankingu. W poprzednich sezonach zajmował jednak: 12., 8. i 12. miejsce, dopiero w edycji 2020/21 kończąc na czwartej lokacie i wchodząc do Ligi Mistrzów. Później następowały sezony zawodów, a trzeba jeszcze przypomnieć lata 2017 i 2018, kiedy dopiero w barażach Wilki zapewniały sobie utrzymanie w elicie.

Takie wyniki Wolfsburga są nieprawdopodobne, bo będąc przecież klubem należącym do Volkswagena (w Niemczech nie można mieć prywatnego właściciela, ale VfL jest historycznym wyjątkiem) na biedę nie narzeka. Poprzednie sezony to sumaryczne wydatki transferowe rzędu: 45 mln euro, 75 mln, 36 mln, 81 mln, 22 mln, 35 mln, 36 mln, 72 mln, 81 mln, 68 mln, 45 mln, 50 mln. W porównaniu z pieniędzmi, jakie wydają np. Anglicy, to marne grosze, ale jak na realia Bundesligi – kwoty powinny sytuować Wilki w okolicach miejsc pucharowych, nie spadkowych.


Fot. IMAGO / Press Focus

Kapitan Maximilian Arnold (rocznik 1994) gra w Wolfsburgu od 16 lat i przeżył z nim już wiele trudnych sezonów.

Najlepszy Grabara

Pieniądze pieniędzmi, wycena wyceną, ale liczą się ci, którzy wybiegają na murawę. A ci w Wolfsburgu także nie należą do „ogórków". Takie nazwiska jak Mohamed Amoura, Maximilian Arnold, Lovro Majer, Andreas Skov Olsen czy Jonas Wind nie są przypadkowe. No i jeszcze bramkarz Kamil Grabara (jemu zatrudnienie trenera Neestrupa pewnie najbardziej by pasowało). Pod względem indywidualnym pierwszy sezon śląskiego bramkarza w Niemczech jest bardzo udany. Może nie jest już aż tak spektakularny jak jesienią, ale wciąż więcej niż solidny. Wg prestiżowych not „Kickera" to zdecydowanie najlepszy zawodnik Wolfsburga w tym sezonie... a to mówi wiele o postawie piłkarzy z pola. Grabara ma na ten moment notę 3,04 (w skali 1-6, gdzie 1 to klasa światowa), drugi Amoura ma 3,21, zaś trzeci Arnold – 3,44. Koledzy dają rudzkiemu golkiperowi wiele okazji do popisów, lecz tych okazji jest tak dużo, że nie może dziwić, iż Ślązak zachował w Bundeslidze tylko 5 czystych kont na 27 występów (kilka zabrała mu kontuzja). Jak ważny dla Wilków jest Grabara, pokazuje fakt, że jako nowy w zespole już dwa razy w tym sezonie wyprowadzał drużynę jako kapitan – w tym ostatnio z Borussią Dortmund (0:4).

Oczywiście w zespole jest jeszcze dwóch innych polskich piłkarzy. Bartosz Białek ostatnio wrócił do zdrowia po zerwaniu więzadeł, ale klub już poinformował, że jego wygasająca z końcem sezonu umowa nie zostanie przedłużona. Z kolei Jakub Kamiński walczy o miejsce w wyjściowym składzie (10 meczów od początku, 10 z ławki, 9 na ławce).

Upadające miasto

Latem w Wolfsburgu nadejdą więc kolejne zmiany. Jak szeroko będą zakrojone? Czy nowy trener znajdzie receptę, by przywrócić klubowi jego świetność? Istotna będzie też kwestia samego Volkswagena. Od miesięcy słyszy się o kryzysie koncernu, który siłą rzeczy w pewnym momencie może ograniczyć środki na klub piłkarski (już kilka lat temu się o tym mówiło). Problemem jest także Wolfsburg jako taki, bo to miasto, którego bytność oscyluje wokół fabryki samochodów. Jeśli Volkswagen zaliczy regres, odczują to wszyscy mieszkańcy. Niektórzy piszą wprost, że miasto upada, nawiązując do amerykańskiego Detroit. Wolfsburgowi w rozwoju piłkarskim nie pomaga też to, że... nie ma w nim co robić. Mieszkańcy nawet nie walczą z żartami dotyczącymi ich miasta, bo mają świadomość, że naprawdę nic tam nie ma. Nic dziwnego, że wśród zawodników najpopularniejszym kierunkiem jest ten wschodnii dwugodzinna trasa do Berlina.

Piotr Tubacki

Liverpool będzie działać

Zdobyte mistrzostwo nie może uśpić ekipy z Anfield Road.

ANGLIA

Sezon co prawda jeszcze trwa, ale dla Liverpoolu już się skończył. The Reds zapewnili sobie mistrzostwo Anglii i teraz mogą spoglądać na przyszły sezon, w którym będą celować w obronę tytułu. Będzie trudniej niż teraz. Manchester City nie pozwoli sobie na kolejne tak słabe – jak na jego miarę – rozgrywki i już kombinuje nad letnią rewolucją. Liverpool także musi działać, bo w futbolu nigdy nie można stać w miejscu. To bowiem zawsze skutkuje regresem.

Boki do wymiany

Pierwszy problem jest już na Anfield znany – to odejście podstawowego prawego obrońcy Trenta Alexandra-Arnolda, który najpewniej zostanie piłkarzem Realu Madryt. Szefostwu udało się prolongować umowy Mohameda Salaha i Virgila van Dijka, ale obaj zawodnicy do młodzieniaszków już nie należą (odpowiednio prawie 33 i prawie 34 lata), w związku z czym istnieje ryzyko, że prędzej czy później zaczną notować absolutnie zrozumiały w tym wieku spadek formy. W Liverpoolu udała się przebudowa linii pomocy, a tego lata klub będzie koncentrował się na obronie. Konieczność zastąpienia Alexandra-Arnolda to jedno, ale mistrzowie Anglii rozglądają się też za lewym obrońcą. Chcą pobudzić rywalizację z 31-letnim Andrew Robertsonem i ściągnąć kogoś, kto najpierw dzieliłby z nim rozgrywane minuty, a z czasem zastąpił go. Wymienia się 24-letniego Maxima De Cuypera z Brugii, 21-letniego Milosa Kerkeza z Bournemouth, 23-letniego Rayana Ait-Nouriego z Wolverhampton oraz 27-letniego Antonee Robinsona z Fulham. Pewnym „kłopotem" jest jeszcze dotychczasowy zmiennik Robertsona, Konstantinos Tsimikas, który odkąd przybył do Liverpoolu pięć lat temu, nigdy nie wyszedł z roli rezerwowego. Jeśli klub ściągnie nowego lewego obrońcę, Grek prawdopodobnie będzie musiał poszukać sobie nowego pracodawcę. Jeśli nie – nadal będzie zmiennikiem dla reprezentanta Szkocji.

Nie chcą Nuneza!

W praktyce więc należy mówić o tym, że The Reds całkowicie chcą przeformatować boki obrony, ale zmiany dotkną też środka. Przede wszystkim mówi się, że Newcastle United oraz kluby z Bundesligi mają chrapkę na czwartego w hierarchii stoperów Jarella Quansaha. 22-latek skorzystał na kontuzji Joe Gomeza, dzięki czemu złapał trochę minut, ale jeśli odejdzie, w składzie będzie brakować kogoś do obsady środka defensywy. Duet van Dijk – Ibrahima Konate, wspierany przez Gomeza, wydaje się solidny, ale wszyscy ci piłkarze czasem łapią kontuzje, a poza tym zespół walczy na kilku frontach. Kolejny stoper będzie więc potrzebny – również dlatego, że jak już zostało wspomniane, van Dijk młodszy nie będzie i być może trzeba będzie ostrożnie wprowadzać jego następcę.

Ale transfery nie będą dotykać tylko defensywy.

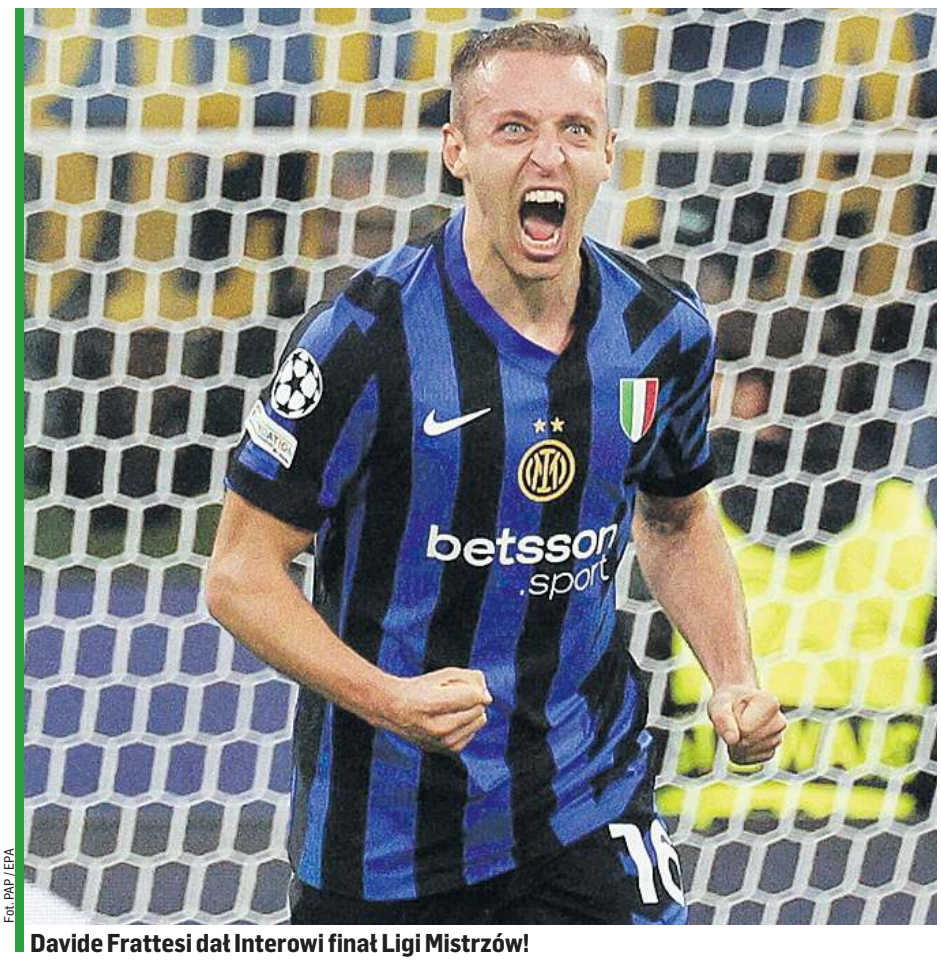

Fot. IMAGO / Press Focus

Darwin Nunez kosztował The Reds 85 mln euro. Teraz klub chce odzyskać chociaż połowę z tej kwoty.

By zarobić nieco grosza, Liverpool obligatoryjnie chce pożegnać Darwina Nuneza. Urugwajski napastnik trzy lata temu kosztował 85 mln euro i zawiódł oczekiwania. W tym sezonie zdobył ledwie siedem bramek i miał siedem asyst w 44 występach, a trener Arne Slot musiał kombinować z ustawianiem na szpicy nominalnych skrzydłowych. Anglicy chcą odzyskać chociaż część zainwestowanych w niego pieniędzy, stąd za około 40-45 mln euro mogą oddać Nuneza. Zainteresowane jego usługami jest Atletico Madryt, które ma dobre skojarzenia z urugwajskimi piłkarzami, by wymienić Diego Forlana, Luisa Suareza, Jose Maria Gimeneza czy Diego Godina.

Piotr Tubacki

Sport ac5cf73c67



Fot. PAP / EPA

Davide Frattesi dał Interowi finał Ligi Mistrzów!

Wydarte zwycięstwo

Fantastyczne widowisko w Mediolanie! Inter pokonał po dogrywce Barcelonę i awansował do finału.

Pierwszy kwadrans rywalizacji stał pod znakiem walki, brakowało jednak klarownych sytuacji z obu stron. Jedyną okazję miał Lamine Yamal, ale jego strzał sprzed pola karnego leciał sam w środek bramki i został obroniony przez Yanna Sommera. Inter odpowiedział niecelnym strzałami Marcusa Thurama oraz Nicolo Barelli. W 21 minucie Wojciech Szczęsny musiał wyciągnąć piłkę z bramki. Futbolówkę stracił Dani Olmo, dotarła ona na wolne pole do Denzela Dumfriesa, który wyłożył ją do Lautaro Martineza, a Argentyńczyk dopełnił formalności i kibice zgromadzeni na Stadio Giuseppe Meazza oszaleli z radości.

Po stracie bramki podopieczni Hansiego Flicka wzięli się do roboty, ale dalej w ich grze było zbyt dużo chaosu. Pod koniec pierwszej połowy Pau Cubarsi wykonał wślizg w swoim polu karnym, żeby zablokować Lautaro Martineza. Sędzia Szymon Marciniak podbiegł do monitora, przeanalizował tę sytuację i podyktował „jedenastkę", uznając, że młody Hiszpan nieczysto zaatakował rywala. Do piłki podszedł Hakan Calhanoglu i pewnie podwyższył prowadzenie Nerazzurrich.

W 52 minucie kibice gospodarzy znowu wpadli w euforię, ale choć piłka po raz trzeci wpadła do bramki gości, to tym razem po ewidentnym spalonym, więc ich radość szybko minęła. Chwilę później Barcelona złapała kontakt po zupełnie niepozornej akcji. Z lewej strony pola karnego piłkę dośrodkował Gerard Martin, a fenomenalnym strzałem z powietrza popisał się Eric Garcia. Mecz zaczął się coraz bardziej rozkręcać. Kolejny raz Szczęsnego sprawdzał Barella, ale ponownie górą był bramkarz gości. Sommer pozazdrościł Polakowi i popisał się fenomenalną obroną przy strzale Garcii. Barcelona dostała jednak wiatru w żagle po golu kontaktowym i dała radę wyrównać w 60 minucie, kiedy Dani Olmo głową wykończył idealne dośrodkowanie Martina. Hiszpan był kompletnie niepilnowany.

Lamine Yamal na kwadrans przed końcem meczu mógł zdobyć pięknego gola, ale ponownie świetnie interweniował Sommer. Doświadczony Szwajcar skapitulował jednak w 88 minucie. Raphinha uderzył z pola karnego, bramkarz interweniował, ale przy poprawce nie miał szans. Blaugrana chciała dobić swojego rywala, ale strzał Yamala wylądował na słupku. Jednak chwilę później to Inter wyrównał stan meczu w doliczonym czasie gry za sprawą gola Francesco Acerbiego. Stadion w Mediolanie niemal odfrunął!

Dzięki temu mieliśmy dogrywkę w tym spotkaniu, a w niej ponownie na prowadzenie wyszli gospodarze. Davide Frattesi dostał piłkę w polu karnym, miał dużo miejsca i uderzył przy słupku. Szczęsny w tej sytuacji był bez szans. Goście próbowali doprowadzić do wyrównania, ale w bramce Interu stał dzisiaj nieoceniony Sommer. Tym samym to podopieczni Simone Inzaghiego z Piotrem Zielińskim w składzie wydarli zwycięstwo i awansowali do finału, który zostanie rozegrany w Monachium!

Miłosz Cebo

PÓŁFINAŁ

■ **Inter Mediolan – Barcelona 4:3 (2:0, 3:3: 4:3) 7:6 w dwumeczu**

1:0 – L. Martinez (22), 2:0 – Calhanoglu (45+1), 2:1 – Garcia (54), 2:2 – Olmo (60), 2:3 – Raphinha (88), 3:3 – Acerbi (90+3), 4:3 – Frattesi (99)

INTER: Sommer – Bisseck (71. Darmian), Acerbi, Bastoni – Dumfries (108. De Vrij), Barella, Calhanoglu (79. Zieliński), Mchitarjan (79. Frattesi), Dimarco (55. Augusto) – Thuram, L. Martinez (71. Taremi). Trener Simone INZAGHI.

BARCELONA: Szczęsny – Garcia (98. Fort), Cubarsi (106. Gavi), I. Martinez (76. Araujo), Martin – de Jong, Pedri (106. Victor) – Yamal, Olmo (83. Lopez), Raphinha – Torres (90. Lewandowski). Trener Hansi FLICK.

Sędziował Szymon Marciniak (Polska). Żółte kartki: Calhanoglu, Mchitarjan, Acerbi, Augusto, Bastoni – I. Martinez, Victor (poza boiskiem).

Wenger wierzy w Arsenal!

Mimo porażki u siebie legendarny trener twierdzi, że Kanonierzy mają pewną przewagę przed wyjazdem do Paryża.

Przed tygodniem Arsenal już w 4 minucie dostał „gonga", gdy płynną akcję Paris Saint-Germain sfinalizował Ousmane Dembele. Potem Kanonierzy mieli wielkie problemy, by docisnąć PSG, co udawało im się właściwie tylko w ostatnim kwadransie pierwszej i na początku drugiej połowy. Mieli też sporo szczęścia, bo pod koniec Francuzi mieli dwie znakomite okazje na podwyższenie, w tym poprzeczkę ostemplowaną przez Goncalo Ramosa. Skończyło się jednak tylko na jednej bramce, która powoduje, że rewanż na Parc des Princes zapowiada się pasjonująco!

Ten drugi

Trener Mikel Arteta objął Arsenal w Boże Narodzenie 2019 roku i od tamtej pory zdobył z nim dwie Tarcze Wspólnoty oraz Puchar Anglii. Udało mu się poukładać klub w taki sposób, że ten bez wstydu może rzucać rękawicę Liverpoolowi i Manchesterowi City. Sęk jednak w tym, że właśnie kończy trzeci z rzędu sezon Premier League na fotelu wicelidera, a jak wiadomo mistrzostwo w Anglii ma największe znaczenie. Druga pod tym względem jest Liga Mistrzów, więc jeśli teraz Kanonierzy odpadną w starciu z PSG, w pierwszym od wielu, wielu lat półfinale Champions League, jeszcze mocniej przykleją do siebie łatkę „tego drugiego".

Mentalny problem

Na temat rewanżu w Paryżu wypowiedział się legendarny szkoleniowiec Arsenalu, który stworzył jego potęgę w XXI wieku – Arsene Wenger. Francuz twierdzi, że londyńczycy będą mieli dzisiaj pewną przewagę. – Co jest ciekawe w Lidze Mistrzów, to że przed rewanżem zawsze masz do rozwiązania pewien mentalny problem. W przypadku Arsenalu sprawa jest prosta: musi pojechać i wygrać. Z kolei mentalny kłopot PSG brzmi: czy zagrać, żeby wygrać, czy żeby obronić korzystny wynik z pierwszego meczu i skupić się na kontratakach, jednocześnie mając świadomość jasnej wiadomości, którą przekaże się drużynie. Wiadomo, że w takiej sytuacji nie każdy w zespole będzie się zgadzał z takim podejściem, bo to nieco sprzeczne z DNA drużyny – powiedział 75-letni trener. Szkoleniowiec PSG Luis Enrique zapowiedział już, że „mamy kolejny mecz do wygrania", ale Arsenal też będzie miał coś w tej sprawie do powiedzenia.

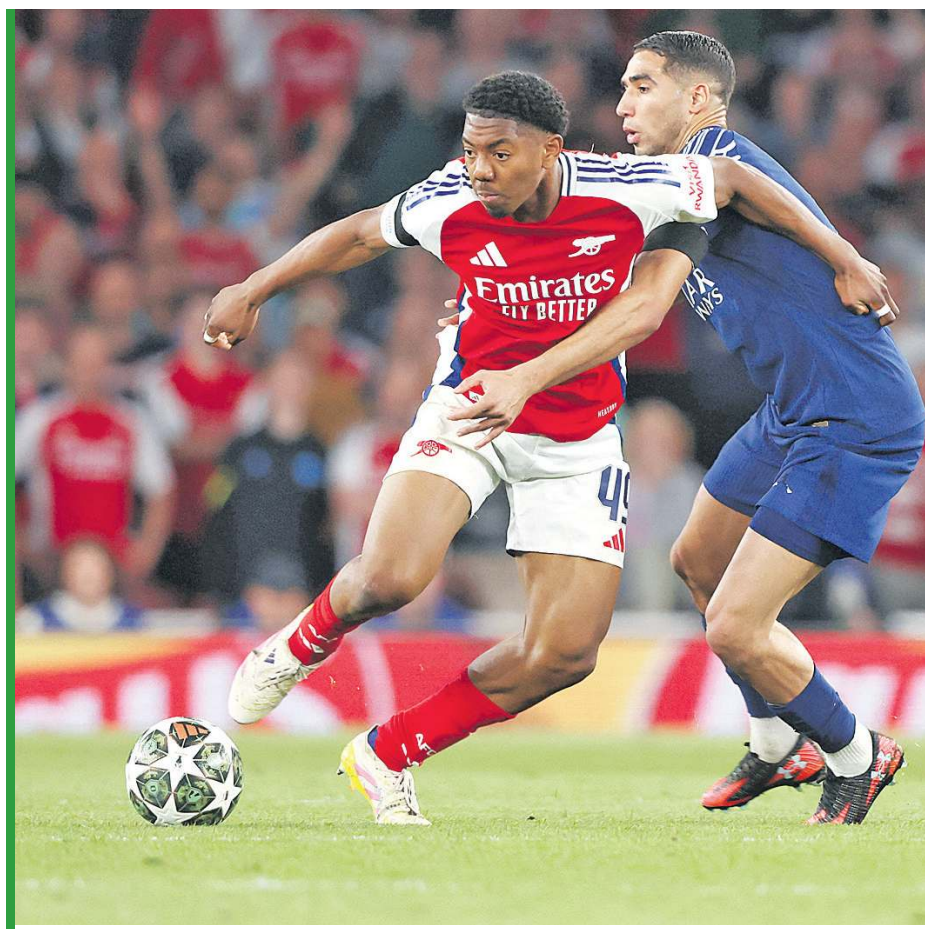
Sentymentalny powrót

Przyjazd do Paryża będzie też szczególny dla Mikela Artety. Jako piłkarz 18-letni wychowanek barcelońskiej La Masii na początku 2001 roku udał się na 1,5-roczny pobyt do PSG, gdzie wówczas jeszcze nikt nie miał nawet pojęcia, że kiedyś przyjdą do tego klubu szejkowie i ich petrodolary. Młodziutki Arteta grał w drużynie razem z Ronaldinho, Nicolasem Anelką, Jay-Jayem Okochą, Gabrielem Heinze czy jednym z najstarszych w drużynie Mauricio Pochettino, który po trenowaniu Tottenhamu, PSG i Chelsea jest obecnie selekcjonerem Stanów Zjednoczonych. Arteta z Pochettino szybko się zaprzyjaźnili, mimo że Argentyńczyk jest dekadę starszy. – Miałem wtedy 18 lat i żadnego doświadczenia w profesjonalnej piłce. On nie lubi, gdy tak mówię, ale... był dla mnie jak ojciec. Wziął mnie pod ramię, dawał niesamowite rady, chronił mnie, inspirował. Przez 1,5 roku razem tak wiele się od niego nauczyłem! – wspominał Arteta.

Co ciekawe, jako piłkarz Katalończyk nie miał okazji mierzyć się z Paris Saint-Germain. Jako trener musiał czekać do bieżącego sezonu, a dzisiejszy mecz będzie ich już trzecim na przestrzeni miesięcy. Arsenal raz wygrał (w fazie ligowej Ligi Mistrzów), a raz przegrał. Oba te spotkania odbyły się jednak w Londynie, więc dopiero teraz przyjdzie 43-letniemu Artecie wrócić na stare paryskie śmieci w roli trenera przeciwnego zespołu.

Piotr Tubacki

Środa, 7 maja
godz. 21.00
■ **PSG – ARSENAL**
Sędzia – Felix Zwayer (Niemcy). Parc des Princes (Paryż)



Fot. IMAGO / Press Focus

Kanonierzy przegrali u siebie pierwszy mecz z PSG 0:1.

Sport ac5cf73c67



Mistrzowskie uKOCHane

Piłkarki GKS-u Katowice z trenerką Karoliną Koch po raz drugi sięgnęły po mistrzostwo Polski.

Fot. Marcin Bulanda / Press Focus

Od nazwiska trenerki zawodniczki GieKSy nazywa się „uKOCHanymi".

10
GOLI
zdobyła w tym sezonie Klaudia Maciążka, która jest najskuteczniejszą zawodniczką GKS-u. Pod tym względem to piąta najlepsza piłkarka ekstraligi. Na czele klasyfikacji znajduje się Julia Piętakiewicz z Górnika Łęczna, która zdobyła 16 bramek. Katowiczanki do mistrzostwa nie potrzebowały więc snajperki strzelającej na zawołanie. – Mistrzostwo zdobyłyśmy siłą kolektywu – podkreśliła kapitan zespołu Anita Turkiewicz.

Po raz drugi w historii piłkarki GKS-u Katowice zdobyły mistrzostwo Polski. Sukces przypieczętowały w poprzedni weekend, wygrywając u siebie 7:2 z Pogonią Tczew. Tym samym na dwie kolejki przed zakończeniem rozgrywek mogą cieszyć się ze złotego medalu. Sezon ten był niezwykły dla GKS-u, który na razie tylko w jednym meczu stracił punkty! Tydzień przed zapewnieniem sobie mistrzostwa katowiczanki niespodziewanie przegrały na wyjeździe z Górnikiem Łęczna, kończąc passę 18 zwycięstw z rzędu. Złoty medal zapewne smakowałby jeszcze lepiej, gdyby GieKSa przez cały sezon wygrała wszystkie spotkania. Ale i tak drużyna Karoliny Koch zdominowała ekstraligę. Na razie w dwudziestu kolejkach zdobyła 57 punktów, strzeliła 67 goli i straciła zaledwie 8. To statystyki, które budzą podziw.

Wnioski wyciągnięte

GKS swój pierwszy tytuł świętował w 2023 roku. Wówczas zawodniczki z Górnego Śląska udowodniły, że inne drużyny z ekstraligi muszą się z nimi liczyć. Piłkarki GieKSy miały nadzieję na powtórzenie sukcesu rok później, ale musiały pocieszyć się wicemistrzostwem. Teraz znów trofeum wraca do Katowic, całkowicie zasłużenie, a spotkanie z Pogonią Tczew było piękną klamrą sezonu, który się przecież jeszcze nie skończył. Mecz ten pokazał, jak silnym zespołem jest GKS. – Drużyna musi wiedzieć, dlaczego wygrywa i dlaczego przegrywa. Przeanalizowaliśmy przegrany mecz z Górnikiem, wiemy, gdzie zostały popełnione błędy. Cieszy to, że dziewczyny szybko wyciągnęły wnioski i potrafiły przełożyć to na boisko. Pokazały, że zasługujemy na mistrzostwo – powiedziała po spotkaniu trenerka Karolina Koch.

Od piłkarki do trenerki

To właśnie z tą osobą wiążą się największe sukcesy piłkarek z Katowic. Karolina Koch z katowickim klubem związana jest od sezonu 2017/18. Wówczas była jeszcze piłkarką, dołączyła więc do klubu kilka lat po powstaniu kobiecej sekcji piłkarskiej GieKSy. W 2015 roku drużyna wystartowała w zmaganiach III ligi i co roku awansowała na kolejne szczeble rozgrywkowe. Gdy Koch dołączyła do katowickiej ekipy, zespół był na zapleczu ekstraligi. Z nią w składzie awansował do elity, w której – i to jak! – nadal występuje. Przez pierwsze lata w ekstralidze GKS nie był w stanie znaleźć się na podium rozgrywek. W międzyczasie Koch włączona została do sztabu szkoleniowego, zbierając doświadczenie trenerskie. W marcu 2022 roku pożegnano się z trenerem sekcji Witoldem Zającem i szansę poprowadzenia drużyny do końca sezonu dostała – wówczas wciąż aktywna – piłkarka. Po dokończeniu sezonu postanowiono podpisać kontrakt z trenerką Koch. Zakończyła karierę zawodniczą, skupiając się na prowadzeniu zespołu. Już w swoim pierwszym pełnym sezonie pracy zdobyła wspomniane historyczne mistrzostwo Polski z GKS-em. Sukcesy zaczęły przychodzić hurtowo. W kolejnym sezonie GieKSa sięgnęła po Puchar Polski i wicemistrzostwo, a teraz przyszedł czas na drugi triumf w lidze. Także piłkarki zdają sobie sprawę z tego, jak ważną postacią jest w zespole. – Bardzo doceniam trenerkę. Wykonuje codziennie kawał świetnej pracy, tak jak cały sztab szkoleniowy. Cieszymy się z tego, że mamy ją tutaj i że możemy się od niej uczyć – powiedziała Kinga Kozak, zawodniczka, która przed rozpoczęciem trwającego sezonu powróciła na stadion przy Bukowej. Wcześniej opuściła GKS po sezonie 2020/21, trafiając do Czarnych Sosnowiec. Później przeniosła się na dwa lata do ligi szkockiej, do Glasgow City, a teraz znów jest w GieKSie. W ostatnim meczu z Pogonią Tczew ustrzeliła hat tricka!

Najpierw liga

Sukces katowiczanek może być jeszcze większy. Mistrzostwo oznacza, że zespół zagra w eliminacjach do Ligi Mistrzyń. Dwa lata temu GieKSa w grupie eliminacyjnej europejskich zmagań znalazła się z Anderlechtem, Lokomotiwem Stara Zagora oraz SK Brann. W półfinale małego turnieju, który zorganizowany został w Katowicach, przegrała z przyjezdnymi z Brukseli 0:5. Później, w nic nieznaczącym starciu o trzecie miejsce z Lokomotiwem wygrała po rzutach karnych. Nie dało to awansu do kolejnej rundy eliminacji. Teraz GieKSa znów otrzyma szansę dostania się do najważniejszych klubowych rozgrywek na Starym Kontynencie. – Dwa lata temu podeszliśmy do europejskich pucharów z pełnym zaangażowaniem. To się nie zmieni. Natomiast jesteśmy teraz dojrzalszą drużyną i wierzę, że to zaprocentuje. Zostają nam jednak jeszcze dwie kolejki w lidze i potem zajmiemy się pucharami – powiedziała po zdobyciu mistrzostwa Koch. Trudno zaprzeczyć słowom o dojrzałości drużyny, skoro w trakcie sezonu przegrywa ona (na razie) tylko jedno spotkanie. A podkreślmy, że znaczną część zespołu stanowią piłkarki poniżej 23 roku życia, które są dopiero na początku kariery.

Kacper Janoszka

KOMENTARZ „SPORTU"

Jeszcze nie wszystko stracone



Kacper Janoszka

Sukcesy kobiecych reprezentacji w ostatnim czasie sprawiły, że zacząłem myśleć bardzo pozytywnie o kondycji polskiego futbolu w tym wydaniu. Przecież w zeszłym roku przeżywaliśmy piękne chwile, gdy zawodniczki U-17 pod wodzą Marcina Kasprowicza wyszły z grupy na mistrzostwach świata na Dominikanie, choć były debiutantkami na turnieju tej rangi. W grudniu 2024 roku dorosła reprezentacja Niny Patalon sprawiła z kolei, że po raz pierwszy w historii Biało-czerwone zagrają na mistrzostwach Europy, które rozpoczną się w lipcu. Mamy powody do dumy i zadowolenia. Dlatego z ciekawością oczekiwałem na to, jak zaprezentuje się kolejny rocznik kadry U-17 podczas pierwszego meczu na Euro na Wyspach Owczych.

Polki trafiły do niezwykle trudnej grupy, w której mierzą się z Włochami, Hiszpanią i Francją. Z góry zakładałem więc, że nie będzie łatwo. W poniedziałek zespół dowodzony przez Paulinę Kawalec zagrał z Włoszkami. Po pierwszej połowie moje pozytywne myślenie o polskiej piłce nożnej kobiecej zamieniło się w ogromny znak zapytania. Rywalki niemal całkowicie zdominowały Polki. Były lepsze pod każdym względem. Były lepiej przygotowane fizycznie, ale także miały pomysł na grę, którego zdecydowanie brakowało w biało-czerwonym obozie. Wręcz przeraziłem się, gdy po 45 minutach było 3:0 dla ekipy z Półwyspu Apenińskiego. Oczami wyobraźni widziałem, jak spotkanie kończy się kompletną klęską...



Fot. UEFA

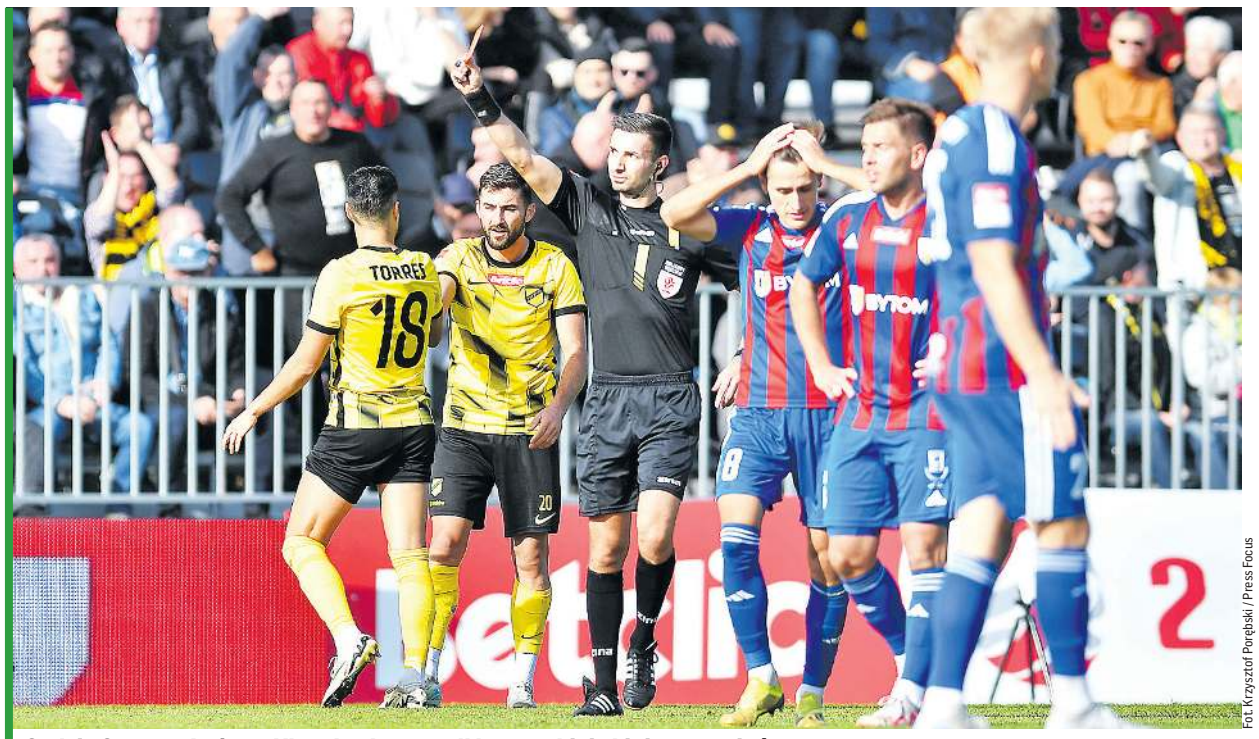
Młode Polki na starcie Euro musiały pogodzić się z porażką z Włoszkami.

Tymczasem po zmianie stron zobaczyłem całkowicie odmieniony polski zespół, który potrafi zagrozić rywalkom. Dzięki temu spotkanie zakończyło się tylko minimalnie korzystnym dla Włoszek rezultatem 4:3. Wynik dobrze obrazuje to, jak szalona była to rywalizacja. I widocznie takie są prawa młodości. Będąc reprezentacją U-17, można zagrać fatalną pierwszą połowę i kwadransie przerwy całkowicie odmienić obraz meczu. Selekcjonerka po meczu powiedziała, że zawodniczki w pierwszej połowie nie udźwignęły mentalnie tego starcia. To by się zgadzało, biorąc pod uwagę to, jak nieźle grały w drugiej części. Mocno wierzę w to, że postawa zespołu z drugiej połowy była tą prawdziwą, którą powinniśmy oglądać w laboratoryjnych warunkach, gdzie nie ma ciśnienia związanego z grą w mistrzostwach Europy. Zadaniem sztabu szkoleniowego powinno być całkowite zdjęcie presji z młodych piłkarek. Jeśli się to uda, głęboko wierzę w to, że Polki – pomimo porażki w pierwszym spotkaniu –jeszcze nie przegrały tego turnieju. Przed nimi dwa kolejne wymagające mecze, ale jeśli zagrają przez najbliższe 180 minut tak, jak przez ostatnie 45, będziemy mogli liczyć na wyjście z grupy. A jeśli to uda się osiągnąć, znów będziemy oglądać kadrę U-17 podczas mundialu, który na przełomie października i listopada odbędzie się w Maroku.

Sport ac5cf73c67

Zadra pozostała

W niedzielę w Bytomiu mecz sezonu Polonii z Wieczystą, który może przybliżyć gospodarzy do awansu. Jesienią w kontrowersyjnych okolicznościach wygrali krakowianie.



Fot. Krzysztof Porębski / Press Focus

Sędzia Szymon Łężny z Kluczborka zapadł bytomskiej ekipie w pamięć.

POLONIA BYTOM

Niebiesko-czerwoni już czują zapach zaplecza ekstraklasy, bo po ostatniej kolejce zajmują pozycję wicelidera – gwarantującą bezpośredni awans – i mają sześć punktów zapasu nad trzecią w tabeli jedenastką spod Wawelu. Milionerzy z Wieczystej, jak nazywani są piłkarze sponsorowani przez „króla aptek" Wojciecha Kwietnia, mają fatalną wiosnę, w której przegrali już cztery razy, za co posadą zapłacił trener Sławomir Peszko. Zastąpił go Przemysław Cecherz, ale na razie Wieczysta nie może wyjść z marazmu. Po drugiej stronie jest Polonia, która przed niedzielną potyczką i na pięć kolejek przed końcem sezonu jest w komfortowej sytuacji.

Sędzia i kataklizm

Podobnie było przed jesiennym meczem obu drużyn, ale wydarzenia z 23 października na stadionie Wieczystej przy ulicy Chałupnika były jeszcze długo komentowane. Bytomianie przystępowali do spotkania w Krakowie w roli lidera z nieprzerwaną serią 12 zwycięstw na koncie i sześciopunktową przewagą nad rywalem, który także wówczas był trzeci.

Poloniści objęli prowadzenie już w 8 minucie po strzale Daniela Ściślaka, po kwadransie wyrównał Tomasz Swędrowski. A potem drużynę z Bytomia spotkał kataklizm, który przyniósł sędzia Szymon Łężny z Kluczborka, który w odstępie 6 minut wyrzucił z boiska – w kontrowersyjnych okolicznościach – dwóch obrońców gości: Szymona Michalskiego i Adriana Piekarskiego. Grająca w „dziewiątkę" ekipa Łukasza Tomczyka wytrwała bez dalszych strat do 59 minuty, ale w końcu Wieczysta strzeliła dwa gole i wygrała 3:1.

Po meczu szkoleniowiec Polonii z trudem hamował wzburzenie. – Chyba nie ma co komentować. Do 30 minuty mecz był wyrównany, nawet z naszą lekką optyczną przewagą. Pracowaliśmy bardzo długo na serię 12 zwycięstw, ale przyjeżdża sędzia… Ciekawe, czy w drugą stronę też byłaby odgwizdana taka sama kartka, czy sędzia po prostu by się odważył – nawiązywał do drugiej „czerwieni" trener Tomczyk.

Jak siądą Pazdan z Góralskim...

Będący oazą spokoju dyrektor sportowy Polonii Tomasz Stefankiewicz wspomina, że po październikowym meczu musiał rozładować nabrzmiałe emocje i „na gorąco" rozmawiał z trójką sędziowską. – Ale szli w zaparte, że ich decyzje były słuszne. Nie mam jednak pretensji osobiście do pana Łężnego i trójki sędziowskiej o błędy, bo te zdarzają się wszystkim, ale samo ich podejście do tego meczu i jak trudno było sobie im z pewnymi sytuacjami poradzić – to ich przerosło. Mam żal do wydziału sędziowskiego PZPN. Mecz był przełożony na środę, do dyspozycji byli wszyscy najlepsi sędziowie, cała Polska oglądała ten mecz, a został wyznaczony sędzia bez doświadczenia i można było założyć, że jak Michał Pazdan i Jacek Góralski siądą na takiego arbitra, to go „zahukają" – przekonuje Stefankiewicz.

Cztery dni później Polonia przegrała po raz kolejny – 0:1 w Chojnicach, ale działacz Polonii wskazuje, jak różne było podejście sędziego. – Przed meczem pan sędzia (Grzegorz Kawałko z Olsztyna – przyp. red.) wziął nas na słowo i powiedział: „Wiem, że ostatnio zostaliście skrzywdzeni, że były kontrowersje, może były błędy, ale zapomnijmy o tym. Dzisiaj jest nowy mecz, a ja zrobię wszystko, żeby po prostu był dobry". Po meczu podszedłem podziękować całej trójce za dobrą pracę – kontynuuje Stefankiewicz – a oni poprosili, żebym poczekał 15 minut, bo coś chcą sprawdzić. Wrócili i pokazali mi na laptopie akcję z golem Chojniczanki. Jego strzelec, Beniamin Czajka, w ostatniej chwili pomógł sobie ręką. I sędzia mówi: „Skrzywdziliśmy was, ale bez VAR-u nie mieliśmy szans tego wychwycić". I choć znów przegraliśmy w kontrowersyjnych okolicznościach, nasz odbiór był zupełnie inny, bo sędzia okazał się człowiekiem – dodaje dyrektor Polonii.

Zachwiało na dłużej

Najbardziej doświadczony polonista Patryk Stefański, przyznaje, że w niedzielę on i jego koledzy będą chcieli wyrównać niektóre rachunki.

– Jeszcze z jednym wykluczeniem byliśmy w stanie na Wieczystej powalczyć, bo wygrywaliśmy już mecze w dziesięciu i mamy takie sytuacje przetrenowane, ale w dziewięciu to było już za wiele, żebyśmy utrzymali korzystny wynik. Tamten mecz zachwiał nami na dłużej, wypadło nam dwóch podstawowych defensorów, trenerzy musieli kombinować z linią obrony. Było, minęło, ale mała zadra została, bo nie czuliśmy się sprawiedliwie potraktowani – podkreśla Stefański.

Tomasz Mucha

Powrót za ster

Po ponadrocznej przerwie Bartłomiej Bobla ponownie samodzielnie poprowadzi zespół. Może nawet dłużej niż do końca sezonu.

ZAGŁĘBIE SOSNOWIEC

Urodzony w Tychach 43-letni szkoleniowiec po raz ostatni na własny rachunek pracował od października 2022 do marca 2024 roku. Bartłomiej Bobla prowadził wówczas Hutnika Kraków i był to także jego debiut w roli pierwszego trenera.

Bogaty dorobek

Najpierw wymiernie pomógł ekipie ze Suchych Stawów w utrzymaniu na szczeblu centralnym, a pracę zakończył w momencie, gdy plasowała się na ósmym miejscu w drugoligowej tabeli. Poprowadził krakowian w 47 meczach, notując średnią 1,38 pkt. Przez kwartał odpoczywał od futbolu, by 1 lipca związać się z Zagłębiem, jako asystent Marka Saganowskiego. Był to jego powrót do klubu z Sosnowca po blisko ośmioletniej przerwie; od października do grudnia 2016 roku pełnił bowiem podobną funkcję w sztabie trenera Piotra Mandrysza. Duet ten miał również okazję pracować wspólnie w GKS-ie Katowice i Bruk-Becie Termalice Nieciecza. W 2019 roku Bobla zresztą wrócił do Niecieczy, asystując Mariuszowi Lewandowskiemu oraz Radoslavowi Latalowi.

Trudny moment

Teraz samodzielnie poprowadzi Zagłębie, przejmując je w trudnym momencie. Sosnowiczanie nie wygrali żadnego z czterech ostatnich spotkań, notując w tym czasie trzy porażki. W roli pierwszego trenera zadebiutuje w piątkowym, wyjazdowym meczu ze Skrą Częstochowa, który otworzy 30. kolejkę Betclic 2. Ligi. Seria czterech meczów bez wygranej sprawiła, że Zagłębie wypadło ze strefy barażowej o awans, choć traci do niej tylko punkt. Z drugiej strony ma tylko lub aż siedem punktów przewagi nad strefą zagrożoną barażami o utrzymanie i niełatwy terminarz. Tydzień po meczu ze Skrą czeka je spotkanie z walczącą o to, by nie spaść Wisłą Puławy, która wygrała trzy z czterech ostatnich meczów, pokonując m.in.: Świt Szczecin i Wieczystą Kraków. Następnie Zagłębie czekają starcia z Wieczystą i Chojniczanką, plasującymi się w strefie barażowej o awans, a sezon zasadniczy zakończy meczem z celującą w bezpośrednią promocję na zaplecze ekstraklasy Polonią Bytom.



Fot. Łukasz Sobala / Press Focus

W Sosnowcu właśnie nadszedł czas Bartłomieja Bobli (z lewej).

Potrzeba wiary

– Przejmuję zespół w trudnym momencie, ale taki jest los trenera. Jestem z tą drużyną od początku sezonu, znam chłopaków, więc na pewno będzie mi łatwiej niż komuś, kto przyszedłby z zewnątrz. Dziękuję trenerowi Markowi Saganowskiemu za wspólną pracę. Wciąż jesteśmy w grze o baraże o I ligę. Przed nami pięć spotkań, które zadecydują o tym, na którym miejscu zakończymy sezon. To nie jest tak, że ci zawodnicy nie potrafią grać w piłkę. Prawda jest taka, że gdybyśmy wykorzystali sytuacje z pierwszej połowy meczu ze Świtem Szczecin, mogliśmy wygrać ten mecz 3:1, a nie przegrać 1:3. To oczywiście gdybanie... Trzeba po prostu na boisku pokazać swoją wartość i takie jest moje zadanie na najbliższe dni. Mam sprawić, by zespół uwierzył w to, że potrafi. Na razie nie wybiegam w przyszłość, skupiam się na najbliższych meczach – powiedział szkoleniowiec sosnowiczan, któremu ma pomagać dyrektor sportowy klubu, Grzegorz Kurdziel. Nie jest tajemnicą, że to właśnie on był orędownikiem włączenia do sztabu Marka Saganowskiego trenera Bobli, który staje przed szansą gry o angaż w kolejnym sezonie.

Krzysztof Polaczkiewicz

Sport ac5cf73c67

Stawką jest awans

Biało-czerwoni, pod wodzą nowego selekcjonera Joty Gonzaleza, rozpoczęli zgrupowanie w Pruszkowie, które obejmie eliminacyjne mecze z Izraelem i Rumunią.



Fot. Facebook / ZPRP

Oby trener Jota Gonzalez i asystujący mu Julen Aguinagalde wskazali polskim szczypiornistom właściwy kierunek.

REPREZENTACJA MĘŻCZYZN

Dobiegają końca eliminacje mistrzostw Europy, które od 15 stycznia do 1 lutego 2026 roku zorganizują Duńczycy, Norwegowie i Szwedzi. Te trzy nacje, a także Francuzi, czyli obrońcy tytułu z 2024 roku, są już pewni udziału w tej imprezie. W sumie wystąpią w niej 24 reprezentacje, więc - jak łatwo obliczyć - 20 uczestników 17. edycji EHF Euro wyłonią kwalifikacje, w których o przepustki rywalizują 32 drużyny. Losowanie odbyło się w marcu w Kopenhadze. Biało-czerwoni trafili do grupy 8 razem z Portugalią, Rumunią oraz Izraela. Awans wywalczą po dwie najlepsze drużyny z każdej z ośmiu grup, a także cztery najlepsze zespoły, które w swoich grupach zajmą trzecie lokaty.

Wciąż niepewni

Po czterech kolejkach Polacy plasują się na 2. miejscu w grupie, mając zaledwie punkt przewagi nad Rumunami oraz 3 „oczka" straty do pewnych już promocji, Portugalczyków. Na 4 zdobyte dotychczas przez naszych Orłów punkty składają się: remis z Izraelem w Olsztynie (32:32), wyjazdowe zwycięstwo nad Rumunią (28:27), remis z Portugalią w Gdańsku (36:36) oraz przegrana w polsko-portugalskim rewanżu w Odivelas (27:33). Oznacza to, że Polacy wciąż nie mogą być pewni udziału w finałach mistrzostw Europy. O ostatecznym kształcie tabeli zadecydują dwie ostatnie kolejki.

Zaczynamy finisz

Finisz eliminacji rozpoczniemy czwartkowym (15.00) meczem z Izraelem. Dojdzie do niego w Simona Amanar Sports Hall w rumuńskiej Konstancji. Dokładna data oraz miejsce rozegrania tego spotkania długo stały pod znakiem zapytania. Z uwagi na obecną sytuację geopolityczną, rozegranie tego meczu na izraelskiej ziemi okazało się niemożliwe. Podobnie było w przypadku pierwszego starcia bieżących kwalifikacji, w którym Izrael występował jako formalny gospodarz spotkania z Rumunią. Ostatecznie mecz odbył się 13 marca w serbskim Kraljevie i zakończył remisem 29:29. Co ciekawe i bezprecedensowe, również w czwartek i w tym samym obiekcie co Izraelczycy podejmą Polaków, reprezentacja Rumunii zmierzy się z Portugalią. Ten mecz zaplanowano na 18.00.

Świętujemy w czwartek?

W najbliższą niedzielę o 18.00, na zakończenie eliminacyjnych zmagań, zmierzymy się przed własną publicznością z Rumunią. Spotkanie odbędzie się w Gorzowie Wielkopolskim. W przypadku korzystnych wyników (zwycięstwa Polski z Izraelem oraz porażki Rumunii z Portugalią), podopieczni trenera Joty Gonzaleza już w czwartek będą mogli świętować dwunasty w historii, a czwarty z rzędu awans na mistrzostwa Europy. Najlepszym rezultatem Polaków na arenie europejskiej pozostaje 4. miejsce wywalczone w 2010 roku w Austrii. Natomiast w 2024 roku w Niemczech podopieczni poprzedniego selekcjonera Marcina Lijewskiego zajęli 16. lokatę.

Zbigniew Cieńciała

Nowa wizja, nowa filozofia

Tuż przed rozpoczęciem wspólnych treningów w kadrze doszło do trzech zmian. W miejsce dwóch skrzydłowych i rozgrywającego powołano dwóch rozgrywających i bramkarza.

REPREZENTACJA MĘŻCZYZN

Debiutujący w roli selekcjonera Polaków Hiszpan swoje pierwsze zajęcia z Biało-czerwonymi poprowadził w poniedziałek. Tuż przed rozpoczęciem wspólnych treningów w 18-osobowej kadrze doszło do trzech ważnym zmian. Wskutek urazów z udziału w zgrupowaniu w Pruszkowie, a tym samym z gry przeciwko Izraelowi i Rumunii, wyłączeni zostali kapitan drużyny narodowej, prawoskrzydłowy Arkadiusz Moryto i lewy rozgrywający Szymon Sićko (obaj Industria Kielce) oraz prawoskrzydłowy Azotów Puławy Marcin Marciniak. W ich miejsce do zespołu dołączyli bramkarz hiszpańskiego CD Bidasoa Irun Jakub Skrzyniarz, lewy rozgrywający portugalskiego Maritimo de Madeira Andebol, Melvin Beckman i prawy rozgrywający hiszpańskiego CB Ademar Leon, Patryk Wasiak.

Znów bez Syprzaka

W kadrze po raz kolejny zabrakło Kamila Syprzaka, jednego z najlepszych obrotowych świata. Nieobecność „Sypy" to pokłosie wcześniejszego, samowolnego opuszczenia reprezentacji w trakcie bardzo nieudanych (25. miejsce), styczniowych mistrzostw świata. Fakt ten zawodnik Paris Saint Germain tłumaczył kontuzją, koniecznością powrotu do Francji i podjęcia natychmiastowego leczenia oraz rehabilitacji. Związek jednak, na wniosek trenera Marcina Lijewskiego, ukarał i zawiesił swoją gwiazdę. - Z trenerem Jotą znamy się od czasów Ligi ASOBAL. Ja reprezentowałem Barcelonę, a on prowadził drużynę La Rioja Logrono. Później był asystentem trenera w PSG. Choć w przeszłości rywalizowaliśmy na parkiecie, darzymy się wzajemnym szacunkiem i cenimy swoje doświadczenie. Jeśli trener Gonzalez zaproponuje mi spotkanie, z przyjemnością



Fot. Norbert Barczyk / Press Focus

Kamil Syprzak na kolejne powołanie do reprezentacji będzie musiał poczekać...

się z nim zobaczę i porozmawiam, tym bardziej że nie mamy bariery językowej - mówił na łamach „Faktu" Syprzak. - Jego powołanie na selekcjonera reprezentacji mnie nie zaskoczyło. Rozmawialiśmy o tym jeszcze przed oficjalnym ogłoszeniem. Trener zna mnie dobrze, jest świadomy moich umiejętności i tego, jaką wartość mogę wnieść do zespołu - dodał 180-krotny reprezentant Polski i zdobywca 417 bramek, który w 2015 roku sięgnął po brązowy medal mistrzostw świata w Katarze.

- Rozmawiałem z Kamilem i przekazałem mu moją opinię oraz decyzję. Powiedziałem mu, że liczę na niego, ale nie teraz, bo to nie jest dobry moment. Zdecydowałem się nie stawiać na niego podczas pierwszego zgrupowania. Żeby rozwiązać problem, potrzeba więcej czasu. Nie chcę teraz zaczynać rozmów z zawodnikami czy federacją i szukać sposobów na rozwiązanie tego wszystkiego - wyjaśnił selekcjoner. - W mojej opinii Kamil zrozumiał tę sytuację. Zgodził się ze mną i dalej będziemy pracować, by ten problem rozwiązać. Sytuacją Kamila zajmiemy się po tym pierwszym tygodniu. Na tę chwilę skupiamy się na nadchodzących meczach - powiedział Jota Gonzalez w TVP Sport.

Napięty okres

Trener Gonzalez nie miał czasu na wprowadzenie zmian do gry naszej kadry przed swoim debiutem. Polacy już dziś udadzą się bowiem w podróż do Rumunii. Z tego powodu Hiszpan chciał do maksimum wykorzystać czas na wspólne treningi w poniedziałek i wtorek. W tym czasie reprezentanci Polski mieli w planach treningi w siłowni, zajęcia z piłkami oraz udział w wielu analizach wideo, aby jak najlepiej poznać pomysł na grę nowego trenera. - Jeśli zakwalifikujemy się na przyszłoroczne mistrzostwa Europy, co jest naszym pierwszym dużym celem, to myślę, że właśnie na tym turnieju zobaczymy drużynę, która będzie grała według mojego pomysłu. Na pierwszym zgrupowaniu pracowaliśmy nad prostymi detalami, do których zawodnicy są już przyzwyczajeni, bo to one mają zapewnić nam awans. Oprócz tego zajmowaliśmy się fundamentami mojej wizji gry, żeby zawodnicy mogli szybko zrozumieć podstawy mojej filozofii. Kolejne elementy będziemy wprowadzać krok po kroku - tak selekcjoner relacjonował początek w pracy z reprezentacją Polski.

(ZC)

HARMONOGRAM ZGRUPOWANIA

5-6 maja: treningi w Pruszkowie
7 maja: transfer do Rumunii
8 maja: Izrael - Polska (Simona Amanar Sports Hall, Konstanca, godzina 15.00)
9 maja: transfer do Gorzowa Wielkopolskiego
10 maja: treningi w Arenie Gorzów
11 maja: Polska - Rumunia (Gorzów Arena, godzina 18.00)

KADRA NA IZRAEL I RUMUNIĘ

- **Bramkarze**: Marcel Jastrzębski (Orlen Wisła Płock), Kacper Ligarzewski (Górnik Zabrze), Jakub Skrzyniarz (CD Bidasoa Irun/Hiszpania).
- **Skrzydłowi**: Mikołaj Czapliński (PGE Wybrzeże Gdańsk), Michał Daszek (Płock), Piotr Jarosiewicz (Azoty Puławy), Filip Michałowicz (Płock).
- **Rozgrywający**: Melvin Beckman (Maritimo de Madeira Andebol/Portugalia), Piotr Jędraszczyk (Corotop Gwardia Opole), Michał Olejniczak (Industria Kielce), Paweł Paterek (KGHM Chrobry Głogów), Damian Przytuła (RK Zagrzeb/Chorwacja), Ariel Pietrasik (Kadetten Schaffhausen/Szwajcaria), Patryk Wasiak (CB Ademar Leon/Hiszpania), Andrzej Widomski (Corotop Gwardia Opole).
- **Obrotowi**: Dawid Dawydzik (Orlen Wisła Płock), Maciej Gębala (HC Erlangen/Niemcy), Sebastian Kaczor (USAM Nimes Gard/Francja).

Sport ac5cf73c67

Polityka i kosz

ORLEN BASKET LIGA

W środę w ostatniej kolejce sezonu zasadniczego ekstraklasy ciekawie zapowiadają się derby Dolnego Śląska – we Wrocławiu Śląsk podejmować będzie Górnika Wałbrzych. W Hali Stulecia zabraknie jednak kibiców gości, bo klub z Wrocławia, powołując się na bliżej nieokreślone decyzje PLK, zdecydował, że przyjezdnych na trybuny nie wpuści.

Klubowy zakaz oprotestowali nawet kibice z Wrocławia. „My, jako Kibice Koszykarskiego Śląska, absolutnie nie godzimy się na takie rozwiązania, które uderzają w kibicowską społeczność polskiej koszykówki. Zwracamy naszemu zarządowi uwagę na to, że również i my możemy stać się ofiarami bzdurnych zakazów wyjazdowych w przyszłości, a możliwość kibicowania swoim drużynom w meczach wyjazdowych jest dla nas wartością nadrzędną" – czytamy w oświadczeniu fanów wrocławskiej drużyny.

W sprawę zaangażował się Roman Ludwiczuk, który przed laty był prezesem PZKosz oraz szefem Górnika. – Kompletnie nie rozumiem decyzji PLK i Śląska Wrocław dotyczącej niewpuszczenia Kibiców Górnika Wałbrzych na mecz derbowy. Kibice, którzy – można śmiało powiedzieć – zainspirowali innych do szerszego udziału w meczach swoich drużyn, kibice, którzy byli esencją Pucharu Polski i ich kibicowanie na pucharze szeroko komentowano w mediach jako wydarzenie, oczywiście pozytywne. Mam nadzieje, że nastąpi opamiętanie i decyzja zostanie zmieniona – napisał na swoim Facebooku. W sprawę mocno zaangażowała się także senator Agnieszka Kołacz-Leszczyńska.

Wszystko jednak raczej na darmo. „Szanowni Kibice, w odniesieniu do zbliżającego się meczu derbowego z WKS Śląsk Wrocław - koszykówka informujemy, że mimo podjętych wszelkich starań decyzja Zarząd klubu z Wrocławia nadal pozostaje niezmienna. Do końca mieliśmy nadzieję, że mecz derbowy w legendarnej Hali Stulecia będzie prawdziwym świętem polskiej koszykówki" – tuż przed meczem zakomunikowano w mediach społecznościowych Górnika. Tymczasem kibice Górnika do Wrocławia i tak się wybierają. „W środę 7 maja wszyscy fanatycy Górnika widzimy się na stacji Wałbrzych Miasto, skąd punktualnie o godzinie 17:00 odjeżdża pociąg Kolei Dolnośląskich w kierunku stacji Wrocław Główny! Wszyscy widzimy się na peronie i jedziemy do Wrocławia wspierać, choćby pod halą, naszych koszykarzy!" – to komunikat ze strony kibiców Wałbrzyski Kocioł. (p)

Basket pod Pałacem Kultury i Nauki

Warszawa została organizatorem przyszłorocznych mistrzostw świata w koszykówce 3x3!

KOSZYKÓWKA 3X3



Fot. PZKosz/Tomasz Sokołowski/400mm.pl

Wiadomość o organizacji prestiżowej koszykarskiej imprezy ogłoszono w warszawskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

Konferencja prasowa PZKosz odbyła się w Audytorium Muzeum Sztuki Nowoczesnej przy ulicy Marszałkowskiej w Warszawie. Nieprzypadkowo właśnie tam, bo za rok na placu obok odbędą się mistrzostwa świata w koszykówce 3x3! – W czerwcu 2026 roku w Warszawie czekają nas ogromne sportowe emocje pod znakiem koszykówki 3x3. Pod Pałacem Kultury i Nauki najlepsze reprezentacje narodowe, zarówno kobiet, jak i mężczyzn, powalczą o medale mistrzostw świata! Kiedy dowiedzieliśmy się, że możemy powalczyć o tej rangi imprezę, zrobiliśmy to bez wahania – podkreślała Renata Kaznowska, wiceprezydent stolicy.

Mistrzostwa mają być rozgrywane na placach między wspomnianym Muzeum Sztuki Nowoczesnej i Pałacem Kultury i Nauki. FIBA organizację przyznała Polsce, a PZKosz negocjował z kilkoma miastami. Najmocniejszą ofertę przedstawiła właśnie stolica. – To ważny dzień dla FIBA i koszykówki 3x3. Świetnie się składa, że decyzję o rozegraniu mistrzostw świata w 2026 roku możemy ogłosić w ikonicznej lokalizacji Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, w pobliżu miejsca, gdzie będzie rozgrywany turniej. Warszawa nie jest przypadkowym wyborem, a decyzję o rozegraniu turnieju w Polsce poprzedziło wiele dyskusji – przyznał obecny na konferencji Andreas Zagklis, sekretarz generalny FIBA.

W tym roku FIBA World Cup odbędzie się w stolicy Mongolii Ułan-Bator. Pierwsza edycja mistrzostw odbyła się w 2012 roku w Atenach. Potem najlepsi koszykarze 3x3 kolejno gościli w Moskwie, chińskim Guangzhou, francuskim Nantes, w Bocaue na Filipinach, w Amsterdamie, Antwerpii i Wiedniu. – Koszykówka 3x3 wywodzi się z popularnego streetballa, a w tym momencie jest już poważnym sportem olimpijskim. Co więcej, przez swoją efektowność staje się coraz bardziej popularna. Od kilku lat mamy spore sukcesy w tej dyscyplinie sportu, nasze drużyny – zarówno kobiet, jak i mężczyzn – rozwijają się dynamicznie. Cieszymy się, że impreza najwyższej rangi, czyli mistrzostwa świata, zawita do Warszawy. Nowoczesna stolica kraju będzie idealnym miejscem na ten turniej – mówił Grzegorz Bachański, szef PZKosz. – Jestem rodowitym warszawiakiem i nie przypominam sobie takiego wielkiego koszykarskiego wydarzenia w moim mieście. Basket 3x3 to nie tylko sport, ale element bycia – dodał.

Na wtorkowej konferencji pojawili się również reprezentanci Polski. Nasze zespoły narodowe od lat utrzymują się w światowej czołówce basketu 3x3. Męska kadra dwukrotnie grała na igrzyskach olimpijskich (w Tokio i Paryżu), ma w kolekcji brązowe medale mistrzostw świata (2019) i Europy (2021). Młodzieżowy zdobyli z kolei złoto mistrzostw świata przed dwoma laty, a kadra kobiet wywalczyła brąz mistrzostw Europy (2022), a także srebro na mistrzostwach świata do lat 23 (2023). – Czekaliśmy na to wydarzenie, pokażemy, na co nas stać. Spróbujemy zarazić nowych ludzi basketem 3x3 – zapowiedział reprezentant Polski, Mateusz Szlachetka. – Mam nadzieję, że zrobimy w Warszawie jeszcze większy hałas, niż było to przed dwoma laty w Lublinie podczas mistrzostw reprezentacji młodzieżowych – dodała reprezentująca nasz kraj w tej odmianie koszykówki Aleksandra Ziemborska. (p)

POLACY ZA GRANICĄ

POLSKI CENTER BŁYSZCZY

■ W lidze hiszpańskiej Aleksander Balcerowski zagrał ledwie 4 minuty i 18 sekund w meczu Malagi z MoraBanc Andora (98:80). Polski środkowy zdobył 5 punktów (1/1 z gry, 3/4 z osobistych), do tego miał zbiórkę i asystę. Z kolei Surne Bilbao z Tomaszem Gielo przegrało w Badalonie z Joventutem (79:87), a nasz zawodnik w 26 minut zdobył 13 punktów (2/3 za dwa, 3/5 za trzy). Miał też 6 zbiórek i 2 asysty. Casademont Saragossa uległ na wyjeździe Baskonii (84:90), a AJ Slaughter w 12 minut zdobył 3 oczka (1/4 za trzy). Amerykanin z polskim paszportem miał 2 zbiórki i asystę. W tabeli Unicaja jest na miejscu czwartym, Casademont na 12., a Bilbao zajmuje dopiero 15. pozycję.

■ Kolejna porażka Saint Quentin w lidze francuskiej. Drużyna Dominika Olejniczaka we własnej hali uległa Le Mans (89:91). Polski środkowy pojawił się w pierwszej piątce, był na boisku 25 minut i zdobył aż 19 punktów (drugi strzelec zespołu). Trafił 8 z 12 z gry oraz 3 z 4 z linii osobistych. Miał aż 10 zbiórek i asystę. Saint Quentin zajmuje 10. miejsce w tabeli Betclic Elite.

■ W lidze tureckiej Bahcesehir College pokonał Tofas (86:75) i przesunął się na czwarte miejsce w tabeli. Mateusz Ponitka był na boisku 18 minut, zdobył 4 punkty (2/3 za dwa, 0/2 za trzy). Kapitan naszej reprezentacji miał też 2 asysty.

■ W Bundeslidze Niners Chemnitz po ciekawym i pełnym emocji meczu pokonali Rostock Seawolves 108:102. Ten drugi zespół prowadzi Przemysław Frasunkiewicz. Seawolves dwie kolejki przed końcem sezonu zasadniczego zajmują 7. miejsce w tabeli i mają spore szanse na grę w play offach. (p)

PORAŻKI FAWORYTÓW

NBA

■ Dwa wyjątkowo zacięte i emocjonujące spotkania odbyły się w poniedziałek. I oba zakończyły się wygranymi gości. W Boston Garden Celtics, aktualni wciąż mistrzowie, sensacyjnie ulegli zespołowi z Nowego Jorku. Knicks przegrywali w drugiej połowie nawet 20 punktami, a mimo to doprowadzili do dogrywki. W dodatkowym czasie oba zespoły miały problemy z trafianiem do kosza, ostatecznie nieco lepsi okazali się nowojorczycy. Najlepszymi graczami zwycięzców byli Jalen Brunson i OG Anunoby, którzy zdobyli po 29 punktów. Dwaj kolejni gracze zanotowali double double – Josh Hart (14 punktów, 11 zbiórek) oraz Kart-Anthony Towns (14 punktów, 13 zbiórek).

W ekipie Celtics brakowało kontuzjowanego Kristapsa Porzingisa. – Oczywiście ma to wpływ na naszą grę, biorąc pod uwagę jego umiejętności na obu końcach boiska. To nie jest jednak żadne wytłumaczenie. Mieliśmy mnóstwo okazji, by wygrać to spotkanie. Mam nadzieję, że Kristaps będzie gotowy na mecz numer dwa – powiedział Joe Mazzulla, trener Celtics.

Dużego kalibru sensacją jest też wynik meczu w Oklahoma City, gdzie najlepszy zespół sezonu zasadniczego przegrał z Denver. Najlepszym graczem spotkania był Nikola Jokić, który zdobył 42 punkty i miał aż 22 zbiórki. Statystycy szybko obliczyli, że Serb jest dopiero piątym zawodnikiem w dziejach NBA, który w fazie play off miał co najmniej 40 „oczek", 20 zbiórek i 5 asyst. W końcówce kluczowy okazał się Aaron Gordon, który 2,8 sekundy przed ostatnią syreną trafił za trzy. Podanie otrzymał od Russella Westbrooka, który zawodową karierę zaczynał właśnie w Oklahoma City. Niespełna 5 minut przed końcem Thunder prowadzili 113:102, ale na finiszu zaprzepaścili cały wysiłek. Mecz numer dwa odbędzie się w środę.

Wyniki. Półfinał Konferencji Wschodniej: Boston - New York 105:108 po dogrywce (0-1). Półfinał Konferencji Zachodniej: Oklahoma City - Denver 119:121 (0-1). (p)

Sport ac5cf73c67

Blaski i cienie



Fot. Marcin Bulanda/PressFocus

Mikołaj Syty (z prawej) wystąpił we wszystkich meczach reprezentacji.

Debiutanci Mikołaj Syty i Kamil Sadłocha szybko znaleźli pewne miejsce w zespole narodowym.

REPREZENTACJA POLSKI

Dwanaście zwycięstw i osiem porażek, w tym trzy na mistrzostwach świata i piąta lokata – to dorobek Biało-czerwonych w tym sezonie reprezentacyjnym. Zespół trenera Roberta Kalabera z kilkoma debiutantami odnosił cenne zwycięstwa, ale na jego dokonania będziemy patrzeć przez pryzmat porażek w najważniejszych potyczkach: z Włochami i Ukrainą po 1:4 oraz z Wielką Brytania 0:3.

Debiutanci i... nieobecni

Sezon międzynarodowy od zawsze zaczyna się w listopadzie, bo wiąże się z obligatoryjnymi terminami międzynarodowej federacji (IIHF). Z chwilą objęcia rządów przez Kalabera reprezentacja dość łagodnie rozpoczynała od meczów z rywalami niżej notowanymi. Mecze towarzyskie z Estonią, młodzieżową reprezentacją Łotwy czy też z Litwą nie przynosiły wielu korzyści szkoleniowych, choć były okazją do sprawdzenia zawodników młodszego pokolenia i debiutów.

W tym roku reprezentacja w mocno okrojonym składzie rozpoczęła od turnieju w Budapeszcie meczami z gospodarzami, Słowenią i Włochami. Wówczas debiutowali: Szymon Kiełbicki, Mikołaj Syty, Jakub Ślusarczyk i Mateusz Ubowski. Byłby jeszcze Kamil Sadłocha, ale w tym czasie leczył kontuzję, ale okazję do debiutu miał w grudniowym dwumeczu z Ukrainą. Obok niego pierwsze występy zaliczyli Mateusz Bezwiński oraz Przemysław Noworyta.

Wielkim nieobecnym turnieju nad Dunajem był Kamil Wałęga, który nie otrzymał zgody klubu na przyjazd na zgrupowanie i trzy mecze. Włodarze Vlci Żylina uzasadniali swoją decyzję zmęczeniem zawodnika dużo ilością meczów. Kalaber się piekli. Wychowanek JKH GKS-u Jastrzębie, który jawi się jak mąż opatrznościowy zespołu narodowego, pojawił się na lutowych meczach Biało-czerwonych, zaliczył dwa występy z dwoma golami, a potem doznał kontuzji w lidze i o grze do końca sezonu nie było już mowy. Z kolei Bartosz Fraszko zagrał w lutym z Włochami i po zablokowaniu strzału złamał kość stopy. Grzegorz Pasiut i Patryk Wronka nie wystąpili w ani jednym meczu towarzyskim, bo byli „oszczędzani" na ostatnie zgrupowanie przed MŚ. Nie przyjechali, bo byli... kontuzjowani.

5 GOLI w reprezentacji zdobyli dwaj najskuteczniejsi: Krężołek i Paś o jednio trafienie mniej mieli Łyszczarczyk i Zygmunt.

44 BRAMKI zdobyli Biało-czerwoni w 20 spotkaniach, stracili zaś 41 .

45 ZAWODNIKÓW wystąpiło w tym sezonie, w tym 4 bramkarzy, 16 obrońców i 25 napastników.

Szeroka grupa

W reprezentacji wystąpiła szeroka grupa zawodników i Kalaber miał okazję zobaczyć w akcji potencjalnych reprezentantów. We wszystkich meczach wystąpił Syty, który do zespołu narodowego wszedł z przytupem. Jego śladem poszedł Sadłocha i obaj zapewne będą jego silnymi punktami. Nie było powodów do narzekań na defensorów rodem z Sanoka, Karola Białasa i Bartosza Florczaka. Ten ostatni okazał się jednak największym pechowcem, bowiem na ostatnim treningu przed wyjazdem na mecz towarzyski ze Słowenią złamał żebra i w MŚ nie wystąpił. Z defensorów do zadowolonych powinni należeć Olaf Bizacki, Mateusz Bryk i Jakub Wanacki. Z dobrej strony pokazało się kilku napastników, m.in. Mateusz Gościński, Patryk Krężołek czy Krzysztof Maciaś. Przez cały sezon nie zawodził tyski duet Dominik Paś - Alan Łyszczarczyk, choć w najważniejszym turnieju nieco zabrakło im sił. Gra Pawła Zygmunta w reprezentacji falowała, ale w najważniejszej imprezie sezonu mocno się starał.

– Jak nie strzelamy goli, to nas zwyczajnie nie ma – doskonale to ujął mocno skwaszony kapitan tyskich mistrzów Polski, Filip Komorski, po przegranym meczu z Ukrainą. A przecież klarownych sytuacji nie brakowało, ale on nigdy nie owijał w bawełnę, zawsze walił prosto z mostu i z tego powodu należy mu się szacunek.

Sezon reprezentacyjny za nami. Seniorzy zajęli przedostatnie miejsce w Dywizji 1A; młodzieżowa reprezentacja piąte miejsce w Dywizji 1B, ale o przyjemną niespodziankę postarał się zespół juniorów do lat 18, awansując do Dywizji 1A. Po ostatnich mistrzostwach świata w Sfantu Gheorghe doszliśmy do wniosku, że oprócz dobrego przygotowania drużynie jest potrzebna odrobina szczęścia...

Włodzimierz Sowiński

BIAŁO-CZERWONI W STATYSTYCE

- Bramkarze: Tomaš Fučik – 6, Maciej Miarka – 8, John Murray – 4, David Zabolotny – 1
- Obrońcy: Karol Biłas – 19/2, Olaf Bizacki – 13/1, Mateusz Bryk - 11, Bartosz Ciura – 8, Bartosz Florczak – 12, Kamil Górny – 17, Marcin Horzelski – 4, Oskar Jaśkiewicz – 8, Adrian Jaworski – 3, Jewgienij Kamieniew – 3, Oliwier Kurnicki – 3, Michał Naróg – 14, Przemysław Noworyta – 2, Kacper Maciaś – 6, Jakub Wanacki – 16, Mateusz Zieliński – 19;
- Napastnicy: Mateusz Bezwiński – 2, Sebastian Brynkus – 10/2, Krystian Dziubiński – 16/3, Bartosz Fraszko – 1, Mateusz Gościński – 16, Bartłomiej Jeziorski – 9/1, Łukasz Kamiński - 4/1, Damian Kapica – 7/1, Szymon Kiełbicki – 7, Filip Komorski – 8/1, Patryk Krężołek – 15/5, Łukasz Krzemień – 13, Alan Łyszczarczyk – 14/4, Krzysztof Maciaś – 11/1, Mateusz Michalski – 5/2, Krystian Mocarski – 4, Dominik Paś – 14/5, Kamil Sadłocha – 15/4, Igor Smal – 3, Mikołaj Syty – 20/3, Jakub Ślusarczyk – 8, Damian Tyczyński – 17/2, Mateusz Ubowski – 4, Kamil Wałęga – 2/2, Paweł Zygmunt – 14/4

Przypominamy wyniki

Z Węgrami 1:4 i 3:2, ze Słowenią 2:1, 2:1 i 3:1, z Włochami 3:5, 5:2, 2:3, 3:1, 1:4, Ukrainą 1:2, 2:1, 2:3, 3:2, 1:4, Litwą 2:1 i 2:0, Rumunią 4:1, Japonią 2:1 i Wielką Brytanią 0:3.

Śladami ojca

Pierwsza potyczka dla Toronto, ale jej zaciętość wskazuje, że rywalizacja z Floridą zapowiada się na dłuższą.

NHL

William Nylander, 29-letni napastnik urodzony w Calgary od zawsze związany z Toronto Maple Leafs, podąża śladem swojego ojca Michaela, który zaliczył 920 meczów w 7 drużynach, jednak jako 14-latek wrócił do Szwecji i tam szlifował swoje umiejętności, grając w Sodertalje, Rogle i Modo. W debiucie w Sodertalje miał okazję wystąpić ze swoim ojcem, a niewielu może pochwalić się takim wydarzeniem. Wybrany w drafcie w 2014 r. przez Toronto, debiut w lidze zaliczył dwa lata później i od tej chwili jest czołową postacią zespołu i trudno się dziwić, że w styczniu 2024 r. podpisał nowy, 8-letni opiewający na 92 mln USD. Ten sezon tylko potwierdza, że spore wydatki nie idą na marne. W sezonie zasadniczym zaliczył 83 pkt (45 goli+38 asyst), zaś w play offie też jest skuteczny – ma 12 pkt (5+7) i wraz z Mikko Rantanenem (Dallas) i Kyle'em Connorem przewodzi klasyfikacji kanadyjskiej.
W pierwszym meczu ćwierćfinałowym Toronto wygrało z Florida Panthers 5:4 (3:1, 1:0, 1:3), a Szwed był głównym aktorem tego widowiska. Nylander zdobył dwa gole (1 i 13 min) i zaliczył podanie przy trafieniu Morgana Riellyego (18). Gdy Chris Tanev (28) podwyższył na 3:1, wydawało się, że gospodarze wszystko mają pod kontrolą. Nic bardziej mylnego. W 31 min Anthony Stolarz, który obronił 8 z 9 strzałów, został zastąpiony przez Jospeha Wolla, który zaliczył 17 udanych interwencji. Stolarz nieco wcześniej został uderzony ręką przez Sama Bennetta podczas przepychanki pod bramką. Jeszcze niespełna 3 min przebywał na lodzie, ale podczas przerwy telewizyjnej zjechał z lodu. Trzecia tercja była niezwykle emocjonująca. Eetu Luostarinen (42) oraz Uwis Balinskis (45) zmniejszyli straty i zrobiło się interesująco. Jednak Matthew Knies, grający niezwykle solidnie przez cały sezon, pokonał w 54 min Siergieja Bobrowskiego (24 obrony). Wynik ustalił Bennett (59) i to było wszystko, na co było stać Pantery, które jednak potwierdziły, że ta rywalizacja zapowiada się na dłuższą. – Pierwsza tercja w naszym wykonaniu była kiepska i zadecydowała o przegranej – ubolewał trener gości, Paul Maurice.

ĆWIERĆFINAŁ PUCHARU STANLEYA

Konferencja Wschodnia:
Toronto – Florida 5:4, stan rywalizacji 1-0. **(ws)**

SPOD BANDY

Urodzinowy prezent

■ Gdyby wszystko zależało od przygotowania fizycznego, to „Kotek" byłby gwiazdą NHL – taką swego czasu usłyszeliśmy opinię o Michale Kotlorzu i nic w tym względzie się nie zmieniło. Niechciany w macierzystym GKS-ie Tychy przeniósł się do Zagłębia, gdzie szybko znalazł uznanie oraz sympatię kolegów i pracodawców. Został kapitanem drużyny i zapewne nadal będzie sprawował tę funkcję. „Kotek", jak nazywają go koledzy, 12 maja będzie obchodził 38. urodziny i podpisał nowy kontrakt, a jak go znamy, to już rozpoczął przygotowania do 20. sezonu w ekstralidze. Do tej pory rozegrał 903 mecze i zdobył 306 pkt (89 goli+217 podań). Adrian Pietrzyk, prezes ECB Zagłębia Sosnowiec, zapowiedział kolejne transfery kilku doświadczonych zawodników oraz utalentowanych młodzieżowców.

Przedłużone kontrakty

■ Mark Viitanen, silny napastnik (190 cm, 101 kg) z podwójnym paszportem estońsko-fińskim, był ważnym ogniwem GKS-u Tychy. Z reguły występował w trzeciej formacji i solidnie pracował w najtrudniejszych momentach. Jego nowa umowa będzie obowiązywała w zbliżającym się sezonie. Nieco wcześniej na przedłużenie kontraktu zdecydował się solidny defensor Bartłomiej Pociecha. W Lidze Mistrzów na pewno zagra też Joona Monto, który zyskał sobie sympatię za pracowitość i precyzję. W 54 spotkaniach zdobył 15 bramek i miał 43 podania, czyli najwięcej w ekstralidze.

Żurek z Rohaczkiem

Jakub Żurek, obrońca JKH GKS-u Jastrzębie, postanowił zmienić miejsce pracy, bo nie doszedł do porozumienia w sprawie nowego kontraktu. Czech obdarzony dobrymi warunkami fizycznymi (192 cm) ponownie trafi pod opiekę trenera Rudolfa Rohaczka, który w nowym sezonie będzie prowadził pierwszoligowy HC RT Torax Poruba.

Kusak na dłużej

■ Michał Kusak, 21-letni napastnik, wychowanek Unii, mający za sobą występy w młodzieżowych drużynach u naszych południowych sąsiadów, podpisał nowy kontrakt w Oświęcimiu. Umowa młodzieżowego reprezentanta kraju będzie obowiązywała przez trzy sezony. **(ws)**

Sport ac5cf73c67



Fot. Kacper Pacocha / Press Focus

Ostatni krok

Zawiercianie muszą szybko się otrząsnąć, jeśli chcą nawiązać walkę z Bogdanką LUK.

Bogdanka LUK Lublin w środę może świętować mistrzostwo Polski. PGE Projekt także jest bliski zamknięcia rywalizacji o brąz.

PLUSLIGA

Lublinianie jak na razie zdominowali finałową rozgrywkę z Aluronem CMC Wartą Zawiercie. W dwóch pierwszych meczach nie pozwolili rywalom na wygranie choćby seta. Od pierwszego w historii mistrzostwa Polski dzieli ich tylko jeszcze jedno zwycięstwo. Mogą je zdobyć już w środę w Sosnowcu. – Te dwa zwycięstwa mają ogromne znaczenie i bardzo nas cieszą, ale wiemy, że to jeszcze nie koniec rywalizacji. Musimy utrzymać bardzo wysoki poziom koncentracji i mocno skupić się na najbliższym meczu w Sosnowcu. Mamy świadomość, że Zawiercie przystąpi do tego spotkania po kilku treningach ze swoim nowo pozyskanym atakującym Georgiem Grozerem. Z naszej perspektywy nie możemy stracić czujności i musimy zachować chłodną głowę, tak żeby po raz kolejny pokazać swoją najlepszą siatkówkę – powiedział w rozmowie z oficjalnym portalem PlusLigi Aleksa Grozdanow, środkowy Bogdanki LUK. – Wiemy przecież, kto jest po drugiej stronie siatki, a w zespole z Zawiercia nie brakuje doświadczonych, mocnych i utytułowanych graczy. Patrząc z naszej strony, mamy teoretycznie tylko jeden krok do wykonania, ale to jeszcze o niczym nie świadczy i nie gwarantuje nam zwycięstwa. Wiemy, że rywale w każdym momencie mogą się odrodzić i wrócić do swojej najlepszej gry. Dla nas ważne będzie to, żeby im niczego nie ułatwiać i nie podawać im pomocnej dłoni – dodał.

Za ekipą z Lublina przemawia też statystyka. Jeszcze nigdy w historii PlusLigi drużynie przegrywającej 0-2 nie udało się sięgnąć po tytuł. Najbliżej tego była w 2003 roku Galaxia AZS Częstochowa, która przegrała z ZAKSĄ Kędzierzyn-Koźle 1:3 i 0:3, ale odrobiła straty i doprowadziła do piątego spotkania, które jednak przegrała 1:3.

W 25-letniej historii PlusLigi przypadków, w których jeden z zespołów zaczynał finały od dwóch wygranych po 3:0, było trzy. PGE Skra Bełchatów dokonała tego w sezonie 2007/08, pokonując AZS Częstochowa i rok później przeciwko Asseco Resovii oraz ZAKSA Kędzierzyn-Koźle (w sezonie 2015/2016 z Asseco Resovią).

Blisko zakończenia rozgrywek na trzecim miejscu jest PGE Projekt Warszawa, który w walce z JSW Jastrzębskim Węglem też prowadzi 2-0 (gra toczy się do trzech wygranych). – Mamy jeszcze jeden krok do zrobienia, ale jest niewiadoma, bo może to był mój ostatni mecz na Torwarze, może nie... Zobaczymy. Cieszę się jednak, że wygraliśmy, prowadzimy 2-0, ale w Jastrzębiu czeka nas trudne spotkanie – ocenił Andrzej Wrona, kapitan społecznej ekipy, który po sezonie zakończy karierę.

Jastrzębianie z pewnością nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa. Stawką bowiem nie jest tylko medal, ale też miejsce w przyszłorocznej Lidze Mistrzów. – Mamy za dużo wahań, żeby grać przeciwko tak dobrym drużynom jak Projekt. Kiedy trafia nam się dołek, to gramy na naprawdę niskim poziomie. Robimy za dużo błędów w serii. Ale wciąż mamy wiele rzeczy na wygrania, jednak musimy wejść na wyższy poziom – stwierdził Benjamin Toniutti, rozgrywający JSW Jastrzębskiego Węgla.

(mic)

DZISIAJ GRAJĄ

O 3. miejsce (do trzech wygranych)
■ JASTRZĘBIE-ZDRÓJ, 17.30: JSW Jastrzębski Węgiel – PGE Projekt Warszawa (stan rywalizacji 0-2)

Finał (do trzech wygranych)
■ SOSNOWIEC, 20.30: Aluron CMC Warta Zawiercie – Bogdanka LUK Lublin (0-2)

Doświadczenie procentuje

ChKS Chełm o krok od historycznego awans do PlusLigi. KPS Siedlce z brązowym medalem.

I LIGA MĘŻCZYZN

W drugim meczu finału zespół z Chełma po raz drugi pokonał, tym razem na wyjeździe, Mickiewicza Kluczbork. Od awansu dzieli go jeszcze tylko jeden triumf. Kolejne spotkanie w czwartek w mieście na wschodzie Polski.

Choć starcie numer 2 wielkiej historii nie miało, to lepiej zaczęli je jednak gospodarze. Po dobrym serwisie Artura Pasińskiego wygrywali 4:2. Przyjezdni szybko wyrównali (5:5), a później do staniu 17:17 trwała walka punkt za punkt. Końcówka to popis CHKS-u. Akcje Jakuba Buckiego i Mariusza Marcyniaka zrobiły różnicę.

W dwóch pozostałych setach inicjatywa od początku należała do przyjezdnych. Gospodarze jedynie krótkimi fragmentami byli w stanie nawiązać w miarę wyrównaną grę. Doświadczenie wyniesione z plusligowych parkietów Buckiego, Jaya Blankenaua, Pawła Rusina czy Marcyniaka zrobiło swoje. – Graliśmy na różnych poziomach rozgrywek, rywalizowaliśmy o medale. Finał w żaden sposób nas więc nie paraliżuje, a bardziej nakręca i motywuje do jeszcze lepszego grania – podkreślił Mariusz Marcyniak, środkowy zespoły z Chełma.

Na dwóch meczach zakończyła się rywalizacja o trzecie miejsce. Zajął je KPS Siedlce, który triumf przypieczętował pewnym zwycięstwem w Jaworznie. – Zdobyty medal dedykujemy i tym, którzy w nas wierzyli, i niedowiarkom, którzy przed sezonem widzieli nas w okolicach strefy spadkowej. Zawodnikom dziękuję za pełną poświęcenia postawę w rozgrywkach – mówił po meczu w Jaworznie trener KPS-u, Witold Chwastyniak.

Jego podopieczni byli zdecydowanie lepsi. Pierwsze skrzypce grali Dawid Sokołowski oraz Krzysztof Rykała. Obaj zdobyli po 19 punktów, mając ponad 70-procentową skuteczność w ataku.

(mic)

Finał (do trzech zwycięstw)

■ **Mickiewicz Kluczbork – CHKS Chełm 0:3 (20:25, 20:25, 18:25). Stan rywalizacji 0-2.**

KLUCZBORK: Magnuszewski (3), Pasiński (8), Kozłowski (8), Linda (9), Górski (6), Janus (2), Michał Łysiak (libero) oraz Mielczarek, Olczyk, Długosz (1). Trener Mariusz ŁYSIAK.

CHEŁM: Blankenau (3), Rusin (11), Marcyniak (13), Bucki (12), Piotrowski (11), Swodczyk (3), Fijałek (libero) oraz Olszewski, Łapszyński. Trener Krzysztof ANDRZEJEWSKI.

O 3. miejsce (do dwóch zwycięstw)

■ **MCKiS Jaworzno – KPS Siedlce 0:3 (17:25, 16:25, 19:25). Stan rywalizacji 0-2. Siedlce zajęły 3. miejsce.**

JAWORZNO: Szczechowicz (2), Puczkowski (7), Żeliński (3), Strzeżek (10), Rawiak (8), Turski (2), Kędzierski (libero) oraz Czerny, Borończyk (2), Wojteszkoewicz, Pietras (3). Trener Tomasz WĄTOREK.

SIEDLCE: Prokopczuk (1), Sokołowski (19), Kosian (4), Rykała (19), Czyżowski (4), Tubiak (4), Tomczak (libero) oraz Wiśniewski (2), Majewski. Trener Witold CHWASTYNIAK.

Kara wymierzona

Sąd Rejonowy w Bielsku-Białej wydał wyrok w sprawie grożenia siatkarkom BKS Bostik ZGO Bielsko-Biała.

Sprawa zaczęła się w grudniu 2023 roku. Bielszczanki w starciu ligowym nieoczekiwanie przegrały z UNI Opole. Kilka z zawodniczek, m.in. Paulina Damaske, otrzymało wówczas obraźliwe wiadomości, w których autor obrażał je i groził pozbawieniem życia oraz zgwałceniem.

Klub nie zbagatelizował sprawy i o wpisach powiadomił organy ścigania. Dzięki współpracy policjantów z Bielska-Białej i katowickiego Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości udało się wytropić hejtera. Okazał się nim 33-letni mężczyzna z województwa świętokrzyskiego.

O zakończeniu sprawy poinformował klub. „Pamiętacie sprawę grożenia naszym siatkarkom po meczu w Opolu w grudniu 2023 roku? Nasze siatkarki i my nie chcieliśmy zapomnieć. Dzięki współpracy wielu osób sprawa znalazła swój finał. Po przeprowadzonym postępowaniu sądowym, w dniu 12 marca 2025 roku Sąd Rejonowy w Bielsku-Białej uznał sprawcę za winnego i m.in. wymierzył mu karę dwóch lat prac społecznych, zakazując mu jednocześnie kontaktu i zbliżania się do pokrzywdzonych siatkarek. Dodatkowo Sąd – mając na uwadze społeczny wydźwięk sprawy – zobowiązał m.in. nasz Klub do opublikowania treści wyroku, co niniejszym czynimy. Niech ten wyrok będzie przestrogą dla wszystkich „anonimowych", pełnych „odwagi" internautów, którzy czują się bezkarni przed swoimi klawiaturami. Pamiętajcie – to, co napiszecie, może do Was wrócić ze spotęgowaną siłą! Z naszej strony sprawę możemy uznać za zakończoną – teraz organy państwowe będą pilnować, czy sprawca wykonuje swoje obowiązki" – napisał klub w specjalnym oświadczeniu.

(mic)

Złoto Śliwki

NASI ZA GRANICĄ

Suntory Sunbirds Osaka, której siatkarzem jest od tego sezonu Aleksander Śliwka, została mistrzem Japonii. W finale pokonała Jtekt Stings Aichi 2-0. Triumf zapewniło jej zwycięstwo 3:0 (29:27, 25:16, 25:22) w drugim spotkaniu decydującej serii.

– Niesamowite uczucie. Zdobyliśmy mistrzostwo, a to był nasz cel przed sezonem. Było w nim sporo trudnych momentów, ale trzymaliśmy się razem, wierzyliśmy w siebie nawzajem i przetrwaliśmy to. Jestem niesłychanie szczęśliwy, że wykonaliśmy zadanie – powiedział Śliwka po zakończeniu spotkania.

Decydujący punkt dla ekipy z Osaki zdobył rosyjski środkowy Dmitrij Muserski, a wcześniej dużo kłopotów sprawiały rywalom jego zagrywki. Finałowe starcie w Funabashi oglądało 10 tysięcy kibiców.

– Słyszałem, że występy Suntory Sunbirds w tym sezonie przyciągnęły na trybuny ponad 100 tysięcy ludzi. Takie zainteresowanie i energia płynąca od kibiców to dobry znak dla SV.League i siatkówki w Japonii – przyznał Ran Takahashi, który został uznany MVP finałów.

(mm)

Iga wybiera… papieża

Maja Chwalińska przegrała z Marią Sakkari i nie zagra w turnieju głównym w Rzymie. Jej przyjaciółka, która broni tytułu na Foro Italico, stawiła czoła… dziennikarzom.

Trzy Polki i Hubert Hurkacz będą rywalizować w stolicy Włoch w ostatnim „tysięczniku" przed wielkoszlemowym Rolandem Garrosem, który rusza 25 maja. Niestety, kwalifikacji na Foro Italico nie przebrnęli ani Maja Chwalińska, ani Kamil Majchrzak.

Piotrkowianin (79. ATP) poległ już w poniedziałek w 1. rundzie z Austriakiem Sebastianem Ofnerem. Tenisistka z Dąbrowy Górniczej (124. WTA) pierwszy mecz z Ukrainką Julią Starodubcewą (80.) rozstrzygnęła na swoją korzyść i we wtorek stanęła do decydującej potyczki z Marią Sakkari (81.). Maja zaskoczyła swoim niekonwencjonalnym tenisem byłą numer 3 na świecie i wygrała pierwszą partię, ale w dwóch kolejnych utytułowana Greczynka „skapowała", o co chodzi i była już lepsza, wygrywając ostatecznie 3:6, 6:3, 6:1, a zawodniczka BJKT Advantage Bielsko-Biała chyba zapłaciła za trwającą ponad trzy godziny batalię z Ukrainką.

Linette też z Sakkari?

Tak więc w rozpoczętym w poniedziałek WTA 1000 na kortach ziemnych w Rzymie wystąpią Iga Świątek (rozstawiona z nr 2.), Magdalena Fręch (nr 26.) i Magda Linette (32.) i wszystkie jako rozstawione zaczną rywalizację od 2. rundy. Linette być może będzie miała okazję zmierzyć się z Sakkari, o ile ta pokona mistrzynię olimpijską z Tokio (2021), Szwajcarkę Belindę Bencic.

Fręch zmierzy się ze zwyciężczynią pojedynku pomiędzy Białorusinką Wiktorią Azarenką a Kolumbijką Camilą Osorio, a Świątek albo z Włoszką Elisabettą Cocciaretto, albo Ormianką Eliną Awanesjan.

Czekając na biały dym

Wczoraj wiceliderka rankingu i prywatnie przyjaciółka Chwalińskiej spotkała się w Rzymie z dziennikarzami i musiała odpowiedzieć na kilka „niebanalnych" pytań. Jedno z nich dotyczyło rozpoczynającego się w środę konklawe i wyboru nowego papieża i czy zamierza wybrać się na Plac św. Piotra w Watykanie, by zobaczyć biały dym…

– Chętnie bym to zrobiła, żeby po prostu przeżyć takie doświadczenie. Ale zobaczę, jak to będzie wyglądało logistycznie. Poza tym nie wiemy, kiedy to się stanie, prawda? Może za kilka miesięcy. Więc zobaczymy – uśmiechała się raszynianka.

Z bardziej poważnych kwestii ucięła pogłoski, że zrezygnuje w tym roku z gry na trawie i nie wystartuje w Wimbledonie. – W ciągu ostatnich kilku dni przeczytałam milion komentarzy, które nie były prawdziwe. Zwłaszcza w polskich mediach jest teraz na mój temat tak wiele teorii, które nie są prawdziwe. Lubicie pisać artykuły, które przyciągną ludzi, rozumiem to. To część waszej pracy. Ale naprawdę chcę nauczyć się lepiej grać na trawie. Każdy rok to kolejna okazja. Na pewno więc zagram w Wimbledonie, o ile nie doznam kontuzji – podkreśliła juniorska mistrzyni w Londynie sprzed siedmiu lat.

Długa droga do tytułu

Polka, która trzy razy wygrała w Rzymie (2021-22, 24), była pytana też m.in. o to, czy coraz bardziej obciążające jest to, że po raz kolejny broni tytułu zdobytego na kortach Foro Italico: – Nie zwracam uwagi na to, czy wygrałam w zeszłym roku, czy nie. Staram się pamiętać po prostu, jak grałam, jak się czułam na korcie, jakie miałam założenia taktyczne. Staram się więc skorzystać z doświadczenia, jakie zyskałam w poprzednich latach, a niekoniecznie przed pierwszą rundą myśleć o wygraniu turnieju, bo jest do tego długa droga. Są też inne dziewczyny, które grają dobrze – zaznaczyła.



Fot. instagram.com/internazionalibnltditalia/

Iga Świątek cieszy się w Rzymie wielką popularnością.

Raszynianka była pytana o to, czy w związku z ciągłymi podróżami konsultowała się z ekspertem od snu. Wyjaśniła, że nie robiła tego. – Mam dobry team, który troszczy się o mnie. Wszyscy wiedzą, że biorę melatoninę – dodała.

W turnieju mężczyzn wystąpi rozstawiony z numerem 30. Hubert Hurkacz. Jego pierwszym rywalem – także w 2. rundzie – będzie Włoch Mattia Bellucci (68. ATP) lub Hiszpan Pedro Martinez (49.).

(t)

Okazja jedna na milion

Rozmowa z **Agnieszką Cyl**, dyrektor sportową Polskiego Związku Biathlonu



Fot. Polski Związek Biathlonu

■ Agnieszka CYL – 41 lat. Siódma zawodniczka w biegu indywidualnym podczas igrzysk olimpijskich w Vancouver (2010), wielokrotna uczestniczka zawodów Pucharu Świata (m.in. trzecie miejsce w sztafecie w Hochfilzen 2008), wicemistrzyni Europy w sztafecie w Nowosybirsku (2005), brązowa medalistka Uniwersjady w biegu sprinterskim (2009), wielokrotna medalistka mistrzostw Polski, w tym 5-krotna mistrzyni kraju, zdobywczyni Kryształowej Kuli za zwycięstwo w klasyfikacji generalnej Pucharu Świata w biathlonie letnim. W grudniu 2022 r. na stanowisku dyrektor sportowej w Polskiego Związku Biathlonu zastąpiła Justynę Kowalczyk-Tekieli.

To pani jest sprawczynią całego zamieszania i stoi za zatrudnieniem na stanowisku trenera męskiej kadry uznanego słoweńskiego szkoleniowca Uroša Velepca. Jak do tego doszło?

– Odbyło się to faktycznie trochę niestandardowo. Znamy się z trenerem prawie 20 lat, jeszcze z czasów, gdy sama startowałam w Pucharze Świata. Spotkaliśmy się w październiku w Niemczech, w Oberhofie, trochę porozmawialiśmy. Zauważyłam, że Uroš nie okazywał zbyt pozytywnych emocji, jeżeli chodzi o jego pracę w federacji niemieckiej, więc gdy okazało się, że z niej rezygnuje, pozwoliłam sobie napisać do niego prywatnie i zapytać, jakie ma plany. Odpisał, że ma plany, ale dlaczego pytam. I od tego się zaczęło.

Przypuszczam, że o zarobkach trenera nie porozmawiamy, ale domyślam się, że Velepec jest drogim trenerem?

– Oczywiście, że drogim (śmiech).

To skąd na to pieniądze?

– Wie pan, czasem jest tak, że jeżeli nadarza się okazja jedna na milion, to trzeba zrobić wszystko, żeby złapać tę okazję i z niej skorzystać. I będziemy robić wszystko, żeby utrzymać trenera Velepca jak najdłużej.

Jak zapamiętała pani Słoweńca jeszcze z czasów, gdy sama pani startowała?

– Już wtedy każdy chciał z nim pracować, cieszył się olbrzymim szacunkiem, wzbudzał respekt. Ale poza tym jest ciepłą, otwartą osobą.

Na co pani liczy w związku z zatrudnieniem tak wybitnego szkoleniowca – jego podopieczni zdobywali medale olimpijskie i mistrzostw świata – który powinien gwarantować duży postęp naszych młodych zawodników?

– Przede wszystkim chciałabym, żeby było widać ich znaczący rozwój, żeby ustabilizowali formę. Wierzę, że Uroš zbuduje w nich pozytywną pewność siebie, która będzie procentować w zawodach. Mam też nadzieję, że sami zawodnicy będą z trenerem dynamicznie współpracowali, chcieli rozumieć, co trener chce im przekazać. Myślę, że wyciśnie z nich to, co najlepsze, a wszyscy wkrótce zobaczymy progres i stabilizację. A z mojej strony życzyłabym sobie dobrej komunikacji z trenerem i wieloletniej współpracy, nie tylko na jeden rok. Bo obie strony rozumieją, że nasi zawodnicy na topie mogą być dopiero za kilka lat.

Skoro trudno oczekiwać, że nasi obiecujący biathloniści szybko wskoczą do światowej czołówki, to dlaczego podpisaliście umowę z Velepcem tylko na jeden sezon?

– Mamy opcję przedłużenia na kolejne cztery lata. Zwyczajowo kontrakty podpisuje się od igrzysk do igrzysk, a te najbliższe – w Turynie i Cortina d'Ampezzo – już za niespełna rok. Ale oczywiście nasze myśli podążają dalej, w dłuższej perspektywie. Życzę oczywiście już teraz medali naszym zawodnikom, ale na tym etapie mamy inne cele, natomiast – jak podkreślam – wierzę, że ich rozwój będzie widoczny już w najbliższym sezonie. Panowie mają duży potencjał, ale równie dużo wciąż do poprawienia. Gdzie by trener nie zerknął, tam ma spore pole do popisu. I nawet jeżeli uda się poprawić choćby niewielki procent ich umiejętności motorycznych czy strzeleckich, to będzie zauważalne. A to jest dla nas najważniejsze. Ale jeśli coś nie poszłoby po naszej wspólnej myśli, nie zamykamy drogi ani sobie, ani trenerowi.

Zatem jakie cele w najbliższych miesiącach wyznaczyliście sobie i co będzie warunkować ocenę pracy trenera?

– Sport jest niewymierny. Trudno ocenić pracę trenera po tym, czy jego zawodnik zdobył medal, czy nie, nawet po liczbie punktów w Pucharze Świata. Będziemy rozmawiać, dyskutować, czy współpraca nam się układa, czy obie strony będą zadowolone z jej rozwoju. Nie chodzi nam o to, żeby zdobyć medal w bólu i krwi kosztem szybkiego wyczerpania organizmu i zniechęcenia do kontynuowania kariery, gdy nie chce się patrzeć na narty czy karabin. Zależy nam na tym, żeby nasi młodzi zawodnicy rozwijali się płynnie, cieszyli się tym, co robią. I jeżeli ta współpraca będzie przynosiła takie owoce i nastawienie, to będzie dla nas jasna odpowiedź, co robimy dalej.

Rozmawiał Tomasz Mucha

■ Męską kadrę A na najbliższy sezon tworzą: Fabian Suchodolski, Konrad Badacz, Jan Guńka, Marcin Zawół i Wojciech Skorusa.

■ Wywiad z trenerem Urošem Velepcem opublikowaliśmy w wydaniu nr 102 z 3-4 maja br.

Sport ac5cf73c67

Wielkie majowe ściganie

W najbliższy weekend blisko 200 kolarzy z całego świata zaprezentuje się w składającym się z trzech części Kryterium Asów.

Impreza, która będzie odbywać się na drogach województwa śląskiego przez trzy dni (od 9 do 11 maja), jest organizowana – z przerwami – już po raz 49. W piątek rozpocznie się w Pszczynie, gdzie rywalizacja toczyć się będzie na ulicach miasta. Później zawodnicy nie tylko z Polski, Czech czy Niemiec, ale również z tak dalekich krajów jak Filipiny, Etiopia, Japonia, Kanada, Kolumbia, Meksyk czy Nowa Zelandia będą ścigać m. in. w Wiśle, Szczyrku i Bielsku-Białej.



Fot. Paweł Czado

Dwie osoby nierozerwalnie związane z Kryterium Asów: Henryk Krawczyk, czterokrotny triumfator (z lewej) i Bogdan Szczygieł, dyrektor wyścigu. Za nimi koszulki wyścigowe, m.in. lidera.

Prestiż i powód do dumy

– Zależy mi na tym, aby za rok odbyła się jubileuszowa, 50. edycja. Urodziłem się w 1960 roku, kiedy wyścig już był rozgrywany. Nie spodziewałem się, że kiedyś będę jego organizatorem. Ludzie wokół mnie napędzają i tworzy się historia. Potem być może ktośprzejmie organizację imprezy po mnie – stwierdził Bogdan Szczygieł, dyrektor imprezy.

Kryterium Asów wróciło do kalendarza imprez w 2022 roku po 22-letniej przerwie. W 2000 roku na starcie stanęło tylko 14 zawodników i wydawało się, że to będzie ostatnia edycja. Na pomysł reaktywacji wyścigu wpadł jednak właśnie Szczygieł, były trener i kolarz, obecnie wiceprezes Śląskiego Związku Kolarskiego i szef organizującej imprezę fundacji Gwardia Katowice.

– Nigdy nie miałem, niestety, okazji w tym wyścigu wystartować. Kiedy ja się ścigałem, akurat impreza się nie odbywała. To dla nas prestiż i powód do dumy, że kryterium znów się odbywa na naszym terenie – dodał prezes Śląskiego ZKol. Kacper Gronkiewicz, syn Grzegorza, szosowego mistrza Polski z 2002.

Pętle i premie

W piątek 9 maja w Infomax Kryterium Asów, bo tak brzmi pełna nazwa imprezy, kolarze rywalizować będą w Pszczynie w Memoriale Braci Gazdów na pętli o długości 1800 m. Start wyznaczono na godz. 16.30, a zakończenie zmagań przewidziane jest o godz. 18.30.

– Ze względu na dużą liczbę startujących, kolarze podzieleni zostaną na sześć grup po 30 osób. Każda z nich będzie pokonywać pięć rund, punktując na każdym okrążeniu. Po finałowego wyścigu z każdej grupy zakwalifikuje się po pięciu najlepiej punktujących zawodników – powiedział Bogdan Szczygieł, dyrektor i organizator Kryterium Asów.

W sobotę 10 maja w ramach Kryterium Asów odbędzie się wyścig Beskid Race mający kategorię 1.2 w rankingu UCI. – Kolarze wystartują o godz. 15 i będą rywalizować w Bielsku-Białej, pokonując pięć rund po niespełna 20 km każda. W sumie będą mieli do pokonania 157 km. Na trzeciej pętli znajdować się będzie premia lotna, a na piątej premia górska. Start i meta znajdować się będą obok Hali Widowiskowej im. Zbigniewa Pietrzykowskiego, a finisz zaplanowano około godz. 19 – przekazał Szczygieł.

W niedzielę 11 maja rozegrany zostanie wyścig Beskid Classic, który również ma kategorię 1.2 UCI. Kolarze rywalizować będą na trasie z Wisły do Wilkowic.

– Start wyznaczony jest na godz. 13. Peleton z Wisły pojedzie przez Przełęcz Salmopolską, gdzie zaplanowano premię górską. Następnie zjedzie przez Szczyrk do Buczkowic. Zawodnicy trzykrotnie pokonają pętlę wiodącą przez Straconkę, Międzybrodzie Bialskie i Żywieckie, Tresną, Zarzecze i Łodygowice. Na metę w Wilkowicach na Magurce powinni dotrzeć około godz. 16.30 – dodał dyrektor Szczygieł.

Krawężniki pełne krwi

O tym, że śląskie kryterium było bardzo wymagające, przekonywał wczoraj Henryk Krawczyk, który jako jedyny w historii wygrał tę imprezę cztery razy (w 1980, 81, 82 i 84 roku). – Było bardzo trudno, ale ja zawsze lubiłem takie ściganie po ulicach miast. Każdy kolarz ma własną specjalizację, moimi ulubionymi wyścigami były właśnie kryteria uliczne. Uwielbiałem rywalizować na rundach, gdzie nie wystarczają sama kondycja i siła, ale równie ważne są umiejętności techniczne – podkreślał 69-latek. Obecni na konferencji prasowej starsi kibice dopowiadali, że i tak miał szczęście. – Ty tego nie widziałeś, ale było mnóstwo wypadków. Krawężniki na ulicach pełne były krwi – roztaczali makabryczną wizję.

Historia tej imprezy jest rzeczywiście bardzo bogata. Rozpoczęła się jeszcze w latach 50. XX wieku, gdy Katowicom na krótko zmieniono nazwę na Stalinogród. Pierwszy wyścig odbył się bowiem już jesienią 1954 roku. Nazwano go I Ogólnopolskim Kryterium Ulicami Stalinogrodu. Od 1960 impreza rozgrywana była pod nazwą Kryterium Asów. Rozrosła się, pęczniała, z roku na roku stawała się coraz bardziej popularna, podobnie jak kolarstwo w Polsce. Wygrywały ją takie sławy jak Ryszard Szurkowski czy Zygmunt Hanusik. Zawodnicy rywalizowali już nie tylko na ulicach Katowic, ale i w całym regionie (w Bielsku-Białej, Tychach, Częstochowie, Rybniku, Gliwicach, a nawet w Sosnowcu). – Działo się to zwykle w okolicach 1 maja, więc kolarski wyścig wpisywał się w cykl sportowych imprez organizowanych przy okazji Święta Pracy. Zawodników oklaskiwały tłumy ludzi – opowiadał Henryk Grzonka, dziennikarz radiowy, który o tej imprezie napisał nawet książkę. – Od lat 60. ten wyścig miał świetną obsadę – przypominał Grzonka. – Przyjeżdżała na niego nie tylko cała krajowa czołówka, ale i zagraniczni kolarze. To był często ostatni sprawdzian przed startującym niedługo potem Wyścigiem Pokoju. Rywalizowali tu więc nie tylko polscy reprezentanci, ale również choćby silna drużyna Związku Radzieckiego – dodawał.

Kryterium Asów patronatem objął marszałek województwa śląskiego Wojciech Saługa.

Paweł Czado

KRYTERIUM ULICZNE

■ Rodzaj wyścigu kolarskiego, rozgrywanego na rundach, najczęściej na ulicach miasta wyłączonych z ruchu na czas rywalizacji. Zwycięzcą zostaje pierwszy zawodnik, który pokonał określoną liczbę okrążeń i nie został zdublowany.

PODWÓJNY SUKCES HOLENDERKI

■ Femke Gerritse (SD Worx-Protime) wygrała po finiszu z dużej grupy trzeci etap wyścigu kolarskiego Vuelta a Espana i została nową liderką. Na ósmej pozycji, podobnie jak dzień wcześniej, linię mety minęła Katarzyna Niewiadoma (Canyon-SRAM zondacrypto).
Wtorkowy etap na trasie Barbastro - Huesca liczył 132,4 km. Doszło do kilku upadków i kraks, m.in. dwa kilometry przed metą (czyli już w tzw. strefie chronionej), czego efektem było podzielenie się peletonu. Zawodniczki jadące z przodu nie ucierpiały i stoczyły między sobą walkę na ostatnich metrach. Najszybsza okazała się Gerritse, która – również dzięki bonusom – objęta prowadzenie w klasyfikacji generalnej. Tuż za Holenderką finiszowała jej słynna rodaczka, zwyciężczyni drugiego etapu Marianne Vos (Visma), a trzecia była Szwajcarka Linda Zanetti (Uno-X Mobility).
W klasyfikacji łącznej Gerritse wyprzedza o 12 sekund Vos oraz Włoszkę Letizię Paternoster (Liv AlUla Jayco), dotychczasową liderkę. Niewiadoma jest 11., tracąc 25 sekund.

GRUPY KOLARSKIE STARTUJĄCE W KRYTERIUM ASÓW

ATK Investements (kolarze z: Czech, Polski, Węgier), Monogo Lubelskie Perła Polski (Polska), TTS Coach Spica Solutions (Polska), Karcag Cycling (Węgry, Włochy), Voster ATS (Polska), Mazowsze Serce Polski (Polska), Tufo Pardus Prostejov (Czechy, Polska), Run&Race Wirabech (Polska, Niemcy), Luks Trójka Piaseczno (Polska), Victoria Sports Continental (Filipiny, Hiszpania), Cartusia Kartuzy (Polska), Kujawy Pomorze (Polska), Mostostal Puławy (Polska), Ceramic Speed Herning (Dania), Power of Science RK Exlusive Doors (Polska, Ukraina), CykloTym Havirov (Polska), Team Storck Metropol Cycling (Niemcy, Polska), Chrobry Głogów (Polska), X Speed United (Kanada, USA, Etiopia, Australia), Bialini Gomola (Cypr, Kolumbia, Meksyk, Litwa), Dukla Banska Bystrica (Słowacja), Energus Cycling Team (Litwa, Łotwa), Elkov-Kasper (Czechy), VIF Gen Z Team (Czechy), Arboe Kaerten Sort Feld am See (Austria, Niemcy), Epronex Hungary Cycling Team (Węgry, Czechy, Norwegia), Atom 6 Bikes-Decca (Austria, Belgia, Wielka Brytania, Irlandia, Estonia), CK Pardubice (Czechy), Factor Racing (Słowacja, Nowa Zelandia, Czechy), CT Giant Store Assen - NWVG (Holandia, Kanada, Hiszpania, Japonia, Nowa Zelandia).

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

ŚRODA, 7 MAJA

TVP 1
20.10 Przegląd wydarzeń, 20.55 Pn: Liga Mistrzów, Paris Saint-Germain - Arsenal (na żywo)

TVP 3
19.00, 21.50 Przegląd wydarzeń regionalnych

TVP SPORT
17.40 Ćwierćfinał Fogo Futsal Ekstraklasy, 19.45 Pn: LM, PSG - Arsenal (na żywo), 23.30 Skróty LM

POLSAT SPORT 1
9.00 Polsat Futbol Cast, 10.00 Europejski Kongres Sportu i Turystyki, 14.30 Tenis: 1. runda ATP w Rzymie, 17.30 Siatkówka: PlusLiga, JSW Jastrzębski Węgiel - PGE Projekt Warszawa, 20.30 Aluron CMC Warta Zawiercie - LUK Bogdanka Lublin, 2.25 Pn: Copa Libertadores, Central Cordoba - Flamengo (na żywo)

POLSAT SPORT 2
10.00 Europejski Kongres Sportu i Turystyki, 17.30 Piłka ręczna: Orlen Superliga Kobiet, KPR Gminy Kobierzyce - MKS Zagłębie Lubin, 19.50 Koszykówka: Orlen Basket Liga, WKS Śląsk Wrocław - Górnik Zamek Książ Wałbrzych (na żywo)

POLSAT SPORT 3
11.00, 17.00 Tenis: 1. runda ATP w Rzymie (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 1
11.00 Tenis: 1. runda ATP w Rzymie, 20.25 Siatkówka: liga włoska mężczyzn, Cucine Lube Civitanova - Itas Trentino (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 2
11.00 Tenis: 1. runda ATP w Rzymie (na żywo)

EUROSPORT 1
15.35 Kolarstwo: 4. etap La Vuelta Femenina, Pedrola - Borja (na żywo)

CANAL+ EXTRA 1
19.30 Pn: Liga Mistrzów, studio i PSG - Arsenal (na żywo), 23.00 Skróty LM

CANAL+ SPORT 2
11.00 Tenis: 1. runda WTA w Rzymie (na żywo)

Wszystkie telewizje korzystają z prawa do zmian w swoich programach. Powody zmian mogą być również niezależne.

Sport
Adres: 40-007 Katowice, ul. Uniwersytecka 13

Redaktor naczelny Andrzej GRYGIERCZYK
Redaktor wydania Grzegorz KACZMARZYK
e-mail: redakcja@dziennik sport.com.pl
Tel. 322587207
Wydawca
Edicom sp. z o.o.
ul. Hagera 41
41-800 Zabrze
Prezes Ryszard Halemba

Sport ac5cf73c67

REMANENT

Maiblumenstadt i... bez

Jerzy Chromik



Puchar tysiąca drużyn. Taki baner wita niemal rokrocznie gości na Stadionie Narodowym. Są jednak tacy, i nie jest ich garstka, którzy upierają się nie bez racji przy mniej wyświechtanym haśle. Twierdzą, że to raczej „Puchar tysiąca kilometrów".

Ze Szczecina do Rzeszowa (pierwszym przeciwnikiem Portowców w 1/32 finału była miejscowa Stal) niełatwo dojechać nawet pendolino z przesiadką na stacji tranzytowej Warszawa Centralna. A osobowy przyspieszony w PRL-u, zwany przez wtajemniczonych „przemytnikiem", który zwiększał opóźnienie prawie na każdej stacji, jechał na tej trasie prawie dobę. Tak na marginesie nazwy, to całkiem niedawno w Dorohusku przechwycono 1700 paczek papierosów przewożonych w... wydrążonej płycie nagrobnej, transportowanej rzekomo na pogrzeb dziadka.

Ten finał na długo przed drugim dniem maja, a tym bardziej po meczu, miał w mianowniku wyraz „pogoń". Kilka lat temu pojechałem do Szczecina, by napisać reportaż „Pogoń za stadionem". Klubem rządził wtedy mocną ręką prezes Mroczek i niełatwo było o nim napisać coś złego. Walczył o dotacje od miasta, miał wsparcie Bońka i zaczął budować. Najpierw w marzeniach, a potem na prawdziwych fundamentach. Dziś stadion olśniewa, a... prezesa już nie ma. Być może uznał, że jego kieszeń nie doczeka trofeum. Potem długo trwała pogoń z nagonką za nowym właścicielem i sponsorem w jednej osobie. Chwilami było śmiesznie, chwilami smutno, ale ponoć długi wreszcie spłacono i nadal warto kibicować. Oddano klub w inne ręce. Czy w dobre? To się dopiero okaże...



Fot. Jerzy Chromik

Ośno Lubuskie (kiedyś Maiblumenstadt). 1700 metrów murów obronnych i... bez. To było idealne miejsce, by obejrzeć na smartfonie i zrozumieć mecz finałowy Pucharu Polski Pogoń - Legia.

Legia także od paru ładnych lat jest ciągle w pogoni, tyle że za tytułem. W tym roku stawka była chyba większa niż... zapewnienie sobie środków na przeżycie. Bez pokazania się w oknie europejskich rozgrywek sezon 2025/26 byłby odprowadzony tęsknym wzrokiem jak na obrazie Chełmońskiego „Bociany". Puchar jednak zdobyto i to po raz 21. Czyli jest „oczko"!

Zanim jednak kopnięto w finale po raz pierwszy, była powtórka z rozrywki sprzed trzech lat. Tym razem wielbiciele Legii poczuli się dotknięci skrupulatnością służb i narzekali, bo niektórzy nie zdążyli zająć miejsca przed karnym Guala. A ja dobrze pamiętam, jak kibice Lecha nie wpuszczali Wielkopolan na Narodowy, bo chcieli grupowo wnieść chorągwie klubowe i środki pirotechniczne. Co bardziej potulni podkulili wtedy ogony i pozostali przed bramami, ale dobrze znany mi zasłużony kibic z miasta Przemysława wszedł i dość długo siedział sam w pustym sektorze. Wszedł, bo złamał opór prowodyra bojkotu, zwracając się do niego prosto z mostu:

- Nie było cię, gówniarzu, na świecie, kiedy ja już kibicowałem Kolejorzowi!

Podczas majówkowych wojaży dzień przed finałem spędziłem w Szczecinie, ale mecz oglądałem już w pięknym Ośnie Lubuskim, które kiedyś od plantacji konwalii nazywane było Maiblumenstadt. Siedziałem samotnie w kawiarence przed ekranem smartfona, a na stoliku stał wazonik z białym bzem. Uwielbiam bez! Ale dogrywką zapachniało za późno. Dopiero w ostatniej minucie, już tej doliczonej. Była więc udana pogoń szczecinian, by kolejny finał przegrać... różnicą tylko jednej bramki. Tak jakby dwoma im ciągle nie wypadało. Pogoń za pucharem jeszcze trochę potrwa. I może znowu nie obyć się bez łez...

Czysta komercja

Utytułowany trener Jupp Heynckes krytycznie ocenił współczesny futbol i kierunek, w którym zmierza.

Zdaniem Niemca dominuje czysta komercja, piłkarze zarabiają sumy niebotyczne, a kibic jest zalewany ogromem meczów. Heynckes, który siedem lat temu po raz drugi i ostatecznie przeszedł na emeryturę, w dużej mierze wycofał się z życia publicznego. W wywiadzie dla „Kickera", którego udzielił w związku ze zbliżającymi się 80. urodzinami, krytycznie ocenił kierunek, w którym zmierza współczesny futbol. – To ogrom gier, którymi kibic-konsument jest zalewany. Ale tak właśnie funkcjonuje ten biznes – piłkarze zarabiają niebotyczne sumy, a kluby, które muszą płacić im te pieniądze, muszą je wygenerować. Piłka nożna to teraz czysta komercja. Do tego telewizja dyktuje nieprzyjazne godziny rozpoczęcia meczów – powiedział.

Jak przyznał, w związku z zalewem meczów on sam bardzo starannie wybiera te, które ogląda. – Moje ogromne zainteresowanie piłką nożną przycichło. Bayern, Moenchengladbach, Bilbao, Real, Barcelona... Zazwyczaj śledzę hiszpański futbol, a także najważniejsze rozgrywki w Anglii czy Francji. Ale dokonuję wyboru i oglądam najważniejsze mecze. Czasem wolę poćwiczyć na siłowni niż zobaczyć spotkanie Bundesligi – przyznał jubilat, który w piątek 80. urodziny chce celebrować w spokoju i wyłącznie w otoczeniu najbliższych.

Heynckes to jeden z najbardziej utytułowanych piłkarzy i trenerów w niemieckim futbolu, który sukcesy odnosił też za granicą. W 1972 roku został mistrzem Europy, a dwa lata później był członkiem niemieckiej reprezentacji, która sięgnęła po mistrzostwo świata. W drużynie narodowej rozegrał 39 meczów. Z Borussią Moenchengladbach cztery razy został mistrzem kraju. Później jako szkoleniowiec pracował trzykrotnie w Bayernie Monachium, z którym m.in. w 2013 roku wywalczył potrójną koronę (mistrzostwo i Puchar Niemiec oraz Liga Mistrzów), dwukrotnie w Borussii Moenchegladbach i Athletic Bilbao, a także w Realu Madryt, z którym również sięgnął po Puchar Europy, Benfice Lizbona czy Eintrachcie Frankfurt. Przekazał, że jak na swój wiek radzi sobie stosunkowo dobrze. – Nadal uprawiam dużo sportu. Wielu popełnia błąd, że na starość stawiają na komfort i uważają, że teraz liczy się tylko spokój i cisza. Nie, trzeba pozostać aktywnym. Ciało jest jak silnik i wymaga naoliwienia – podsumował.



Fot. Pixathlon / Sina / Press Focus

W 2018 roku, po czwartym tytule mistrzowskim jako trener dla Bayernu, Jupp Heynckes ostatecznie zakończył karierę.

Operacja Spalony

Portugalska prokuratura uruchomiła dochodzenie przeciwko czołowemu agentowi piłkarskiemu świata Jorge'owi Mendesowi. Zarzuca mu się oszustwa podatkowe.

Mendes, który we wtorek wydał komunikat, odrzucając oskarżenia stawiane mu przez prokuraturę, miał zgodnie z ustaleniami śledczych uniknąć zapłacenia portugalskiemu fiskusowi kwoty 18 mln euro.

Podczas śledztwa prowadzonego pod kryptonimem „Operacja Spalony" ustalono, że Mendes próbował oszukać organy podatkowe Portugal ii, przekazując darowiznę udziałów w jednej ze swoich spółek na żonę Sandrę. Następnie inna firma należąca do biznesmena miała je odkupić, unikając tym samym płacenia zobowiązań fiskalnych.

„Nadejdzie czas sprawiedliwości (...), a moja niewinność w tej sprawie jeszcze się potwierdzi" – przekazał we wtorkowym komunikacie Jorge Mendes.

Uchodzący za czołowego agenta piłkarskiego świata Mendes reprezentuje za pośrednictwem spółki Gestifute, wielu znanych piłkarzy, m.in. Argentyńczyka Angela Di Marię, Hiszpana Lamine Yamala oraz Portugalczyków Bernardo Silvę, Renato Sanchesa, a także Joao Felixa.

Jorge Mendes do końca 2022 roku reprezentował też kapitana portugalskiej reprezentacji piłkarskiej Cristiano Ronaldo. Współpraca między nimi została zakończona w związku z problemami piłkarza w angielskim klubie Manchester United i poszukiwaniami nowego zespołu przez Ronaldo. Piłkarz miał skarżyć się na jakość usług świadczonych przez Mendesa jako agenta sportowego. Wprawdzie niebawem Ronaldo zasilił saudyjski klub Al-Nassr, ale nie skorzystał już z opcji przedłużenia umowy z Mendesem. Portugalski piłkarz i jego były agent w dalszym ciągu wspólnie są jednak udziałowcami spółki Polaris, która zajmuje się m.in. zarządzaniem wizerunkiem znanych piłkarzy.

Z Lizbony – Marcin Zatyka (PAP)

Sport ac5cf73c67